



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC

ROK 1924. WARSZAWA, 27 WRZEŚNIA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr

TREŚĆ NUMERU:

Batikowa Ballada—*I. K. Itakowicz*. Uwagi o sytuacji finansowo-gospodarczej Polski w pierwszym kwartale b. r. — *St. S.* Głosy Czytelniczek w sprawie służby domowej — *M. P.* Nauczycielka domowa — *K. S.* Stary Sącz (d. c.)—*N. Samotyhowa*. Między piątą a siódmą (nowela) — *Claude Farrère* (tłum. *M. D.*). Drogami duszy (powieść) c. d. — *Helena Ceysingerówna*. Staruszka z kinematografu (dok.) — *Vicente Blasco Ibanez* (przekł. z hiszp. r. c.). Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.) — *K. Bielańska*. Cel i zadania pedagogii (c. d.) — *Emilja Tecka*. Walka ze śmiertelnością niemowląt w Belgji — *Edward Rosset*. Na marginesie dziejów „Męczennicy na tronie” — *C. Walewska*. Kult Mariji i kult wielkości—*Stefanja Podhorska Okołów*, Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet—*I. Fabrycowa*. Garść wrażeń z międzynarodowego zjazdu nauczycielstwa w Warszawie—*I. W. K.* Wskazówki praktyczne—*Pani Elżbieta*. Nowe książki. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiet i Jej Niemieckiego Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

BATIKOWA BALLADA

LILCE KOSSAK-PAWLIKOWSKIEJ.

I

Na miedzianej osnowie tkacz jedwabiem tka:
miała czarna dziewczyna skrzydlatego lwa,
nie karmiła go chlebem, nie piła go wodą...
Któż wie, czem go żywiła? Może własną urodą!
...na tej tkaninie jedwabnej.

Szły drzewa, karłowate, jak nieskładne wyrazy,
od studni, gdzie dziewczyna—do następnej oazy,
owoce z nich spadały, kule złote, bezlistne,
na szorstką pierś pustyni, na piaski nienawistne,
miedź, rozpaloną od słońca.

Stał namiot wśród płaszczyzny, chwiejny od strusich piór,
z niebieskich aksamitów, płowych tygrysiich skór,
nieдалeko staw błotny, bambusami zasnuty
i do pala łańcuchem ranny moczary przykuty
sam jeden pośrodku bajora.

Leciały zdala ptaki w trójkątny spięte klucz,
lśniąc od djamentów w dziobach, pawich w ogonach ócz,
stanęły kolem nad zatrutem bajorem,
odezwały się potężnym mosiężnym, klangorem:
„Na ratunek królowi!”

A czy to pawie
są — czy żorawie;
czy dziewczyna była numidyjską królowną
— niewiadomo napewno;
czy siostrą była, czy córką związanemu królowi
— niech tkacz opowie.

II

Na miedzianej osnowie tkacz jedwabiem tka:
miała czarna dziewczyna skrzydlatego lwa;
poprzez ciernie pokraczne, przez pierzaste kaktusy
rozpinata w powietrzu pozłociste obrusy,
paciorki różnotęczowe.

Leżały dziwne szaty rozesełane na trawie,
fartuchy motylowe, djademy jak pawie;
co kilka staj na straży krepny niewolnik stawa,
aby uszła drapieżcom dzikim ślubna wyprawa:
paciorki, wstęgi i złoto.

U bajora błotnego rzezańcy kopią muł,
opadły ręce więźnia i głowa zwiśła w dół...
Lecz zgrzytają strzemiona, leca w powietrzu dzidy,
mkną na śnieżnych rumakach uzbrojone Numidy
z samego środka pustyni.

Już złożono sztywnego pośród gajów palmowych,
pod namiotem z błękitu, na matach purpurowych;
wśród krzyków wniebogłosy lecą z góry kokosy,
upalny wiatr Sirocco jeży na gławach włosy,
rozwiewa płachty namiotów.

A czy wybawcy
to, czy mocarza oprawcy,
— czy rzezańcy, w kopaniu biegli,
w walee polegli,
czy dziewczyna była z tym związanym po słowie
— niech tkacz opowie.

III

Na miedzianej osnowie tkacz jedwabiem tka:
miała czarna dziewczyna skrzydlatego lwa,
obejmowała go ramieniem za szyję,
gdy on z misy szczerozłotej wodę pije
na tej tkaninie jedwabnej.

Nie chciał w piaski powrotu,
szedł nocą do namiotu,
by zasunąć kotarę, robił pół obrotu;
wśród szelestu kotary
pękały w mroku czary,
u łoża stawał młodzian w urodzie nie do wiary,
w ramiona brał czarną dziewczynę.

Lwia skóra w mroku łyska,
miłośnik pannę ściska
aż wstają nad pustynią słoneczne półkoliska;
gdy wchodzą niewolnice,
chwieją się zausznice,
o skrzydła lwa śpiącego srebrne dzwonią miednice,
gdzie leży na progu uśpiony.

Numidów białe konie pokryła zmaza pian,
wieziony przez wielbłądy mocarz umiera z ran,
ogień wnętrzości trawi
serce z boleści krwawi,
kogo miłość przebodła, tego nikt nie wybawi,
najwierniejsza numidyjska drużyna!

A czy człowiek w lwią postać spętany
wolny jest—czy zaczarowany,
— czy co chce, czynić może,
— czy z musu dzieli murzyńskiej panny łożę,
— i co mają do tego więzień i Numidowie
niech tkacz opowie.

IV

Na miedzianej osnowie tkacz jedwabiem tka:
miała czarna dziewczyna skrzydlatego lwa,
któż zaświadczy, kto — czy lew, czy człowiek
noc po nocy sen jej zganiał z ciężkich powiek
na tej tkaninie jedwabnej?

Nawiały obłoki jak piaszczyste pagóry,
piasek wzbił się tumanem i opadł jak deszcz bury,
pozłocista kotara
stała się mdła i szara.
z chłodnych czarnych konwój powstała w kłębach para,
to rozwinął skrzydła Sirocco.

Nie skona nawet mocarz i nawet mocarz nie wskrześnie
o jedną chwilę zapóźno, o jedną chwilę zawcześniej,
przyjdą anioły lęku,
przyniosą śmierć na rękę,
a kiedy przyjdzie pora, wskrzeszą, jak falę dźwięku
rozsiane próchno człowiecze.

Otoczył studnię i namiot Numidów zwarty szyk,
upadł strudzony wielbłąd skrwawiony od ostrza pik,

piach się pod wiatrem jeży,
mocarz na płaszczach leży:
„O wynijdź czarna panno, bo księżę nie pobieży.
Odeszła odeń potęga!..”

A któż jest ten, co ma serce ciężkie jak kamień
[młyński]

dla dziewczki murzyńskiej.
— kogo do pala przykuto,
tysiącem ran pokluto,
— na pazostalej osnowie,
niech tkacz opowie.

V

Na miedzianej osnowie tkacz jedwabiem tka,
miała murzyńska księżna skrzydlatego lwa,
Leży księżę na piasku, szata na nim podarta
wychodziła do niego na lwie oburącz wsparta,
pomiędzy skrzydłami widzialna.

„Prawda więc — bańba, święta głoszona wzdłuż i w szerz,
przy Tobie Pana miejsce plugawy zajął zwierz.
sprzedałaś pana w końcu, zdradziłaś od początku,
miał jego synaczkowi darujesz życie lwiatku,
czarownico, niewolnico murzyńska!..”

Numidów wszystkie włócznie drgnęły jak jedna skra,
W ramionach czarnej dziewczki lew konający drga,
zszarzało księcia lice
wpatrzony w niewolnicę,
wspomniały zagnęła wszystko tknięte zgonem żrenice,
przeszłość miłosną i lwią.

Żelazna litość śmierci oczy umarłe zamyka,
zdmuchnięte—królewskie technienie, nakształt nikłego płomyka,
wicher chłodniejszy się zrywa,
skrzydła lwie, grzywę porywa,
księżęciu umarłemu płaszczem twarz martwą nakrywa,
co nocą bywała tak piękna!

„O który z was wrogowie, kochanka mego zabójca,
niech lwiatku—królewiatku raczy zastąpić ojca..
Skończone szczęśliwe czary... Pokładzcie mocarzy na mary!
Panienki moje murzyńskie, wynieście umarłym dary:
obrusy, paciorki, djademy.
Niech szwagrowie moi pustynni podniosą ryczący głos!
Małżonkę lwa zabitego wodzowie powiodą na stos...”

Oczy jego teraz—widzące,
i ja za nim śmierć jak wodę roztrącę,
będzie szczęście jak dno migocące
będzie szczęście jak mirra pachnące
w ramionach księcia mocarza!

Plamy krwawe włosami okryję
na łonie rajskich wód,
serce Twoje na nowo zabię,
gdy poznasz w pomroce mój chód..
Ni jednej łzy nie roztrwonię,
oczy rękami zasłonę..
Będzie szczęście w skrzydłach i zbroi, będzie szczęście płowe
[i w koronie
królewskie, lwie i moje!]

A czyje dzieciątko było,
kiedy się urodziło?
Czy miało postać człowieczą?
Czy pazury lwie, co kaleczą?
Czyją murzyńska panna była żoną?
i czy jako królowę, czy czarownicę ją spalono
— nie dowiedzieć się nigdy, bo tkacz zamknął
[do skrzyni tkaninę skończoną.

Uwagi o sytuacji finansowo-gospodarczej Polski w pierwszym kwartale b. r.

I. PIERWSZY OKRES SANACJI SKARBU.

Plan gospodarczo-finansowy Rządu i jego następstwa scharakteryzował w wielce interesującym exposé, wygłoszonym w komisji budżetowej Sejmu dnia 1 kwietnia b. r. Premier, Wł. Grabski. (Exposé zostało wydane w broszurze osobnej p. t. „Wyniki akcji sanacyjnej styczeń—luty—marzec 1924 r.”). Przemówienie to pozwoliło opinii publicznej wejrzeć bliżej w program Rządu, zrozumieć dokładniej, w jaki sposób zdołaliśmy przeskoczyć, jako Państwo, przepaść, w którą staczaliśmy się tak szybko pozwoliło zorjentować się w sensie akcji sanacyjnej. Opinii naszej, w której panowały wszechwładnie rozmaite nierealne koncepcje skarbowe — przybyło jedno doświadczenie więcej. Dolar, który, jak przypomniał p. Premier, 8 stycznia na giełdzie notowano po 10.250.000 mk. pol., a sprzedawano po 15 do 20 milionów mk. — utrzymał się w dalszych miesiącach na poziomie przeszło 9 milionów. Wartość ogólna emitowanych marek z 70 milionów franków złotych przewyższyła z końcem marca wartość 3000 milionów fr. zł. i ta granica się utrzymała w drugim kwartale. Stało się to dzięki niestrudzonej pracy i zapobiegliwości Rządu, mającego do dyspozycji ustawę o podatku majątkowym, uchwaloną w sposób ramowy w 1923 r. i ustawę o sanacji Skarbu i reformie walutowej z 11 stycznia 1924 r., oraz dzięki zmianie w opinii publicznej. P. Premier stwierdził w swoim exposé, że świadomość społeczeństwa była najważniejszym czynnikiem reformy walutowej i sanacji skarbowej. „Tej świadomości absolutnie nie było w ciągu pierwszej połowy 1923 r.; wtenczas umysły ludzkie siliły się tylko na umotywowanie wątpienia we wszystko i pierwiastek wątpienia tak górował nad wszystkim, że zupełnie wszelką wolę czynu i działania osłabiał.” Ta zmiana w opinii miała przyczynę z jednej strony w tem, że zobaczono jakiś wyraźny, konsekwentny, państwowy program Rządu w zakresie spraw skarbowo-walutowych, z drugiej w załamaniu się tych sofistycznych twierdzeń, które przez

parę lat zatruwały nasze życie publiczne i gospodarcze i w istocie swojej były zwrócone przeciw Skarbowi Państwa. Do wytworzenia się tej nowej świadomości przyczyniło się też walenie zlagodzenie walk o władzę różnych czynników społecznych i politycznych, wytworzenie *sui generis* Treuga Dei.

W poprzednich latach, kiedy każde poczynania, pozytywne i rzeczowe argumenty były zasypywane i przygłuszane argumentami negatywnymi i podporządkowywane sprawom taktyki różnych kandydatów do tek—nieprzygotowana opinia publiczna nie była w możności odróżnić ziarna od plewy, sterowała w kierunku niewiadomym i wątpiła we wszystko: w naszą zdolność do opanowania sytuacji finansowej, w intencje kierowników Rządu, w celowość jakichkolwiek wysiłków. Jakże odmienne objawy dały się dostrzec już po paru miesiącach nowej sytuacji. Bodaj najbardziej typowym przejawem tej nowej atmosfery był udział inteligencji, pracującej w urzędach i wojsku, w zapisach na akcje Banku Polskiego. Według obecnych danych sfery te, za pośrednictwem Skarbu nabyły przeszło 169.000 akcji, t. zn. blisko 17%—mimo, że dla nich to nie przedstawiało żadnego realnego interesu. P. Premier, w cytowanym już exposé, podkreślił to b. dobitnie: „Wszystkim innym przyświecała nadzieja, że kiedyś tam zdyskontują weksle, ale urzędnicy i wojskowi wiedzieli dobrze, że nigdy nie będą weksle ich dyskontowane! To jest dla nich wielka ofiara, gdy dla innych jest to interes, połączony z zadośćuczynieniem poczuciu honoru. Ze strony urzędników i ze strony wojskowych — to jest więcej niż zadośćuczynienie poczuciu honoru, bo od nich nigdy poczucie honoru nie wymagało 10% (później dopiero okazało się, że procent ten jest znacznie większy—*przyp. autora*) i byłoby zupełnie zadowolone, gdyby dało 1 lub 2%. To jest wielka ofiara!”

Przeżyliśmy drugi kwartał w warunkach i na podstawach analogicznych, jak w pierwszym kwartale i weszliśmy w trzeci. Rząd w dalszym ciągu musiał usilnie zabiegać około:

1) opanowywania drożyzny; 2) poprawy bilansu handlowego i płatniczego; 3) oszczędności — aby nie naruszyć równowagi budżetu i 4) dążyć do zwiększenia dochodów skarbowych, aby zaspokoić niezbędne potrzeby, związane z istnieniem Państwa.

II. WALKA Z DROŻYZNĄ.

Sprawa drożyzny ma duże znaczenie dla Skarbu: z jednej strony bowiem oddziałuje ujemnie na nasz bilans handlowy i płatniczy, z drugiej na wielkość naszych wydatków. Według wykazów Głównego Urzędu Statystycznego nasz bilans handlowy w pierwszych czterech miesiącach b. r. nie jest korzystny (saldo wynosi minus 7,3 milionów złotych). Nie jest to wprawdzie stan tych samych miesięcy 1922 r. (saldo wynosiło: minus 116,3), ale w każdym razie nie jest pomyślny.

Drożyzna w tym samym czasie jest b. znaczna. Jak wiadomo już z cyfr, ogłoszonych w prasie codziennej—koszty żywności w Polsce w maju wynosiły 160,7, podczas, gdy w Czechosłowacji—132,8, w Niemczech—120,5, we Francji—113,4, w Anglii—143,1, a w Stanach Zjednoczonych—138,0. Według danych za lipiec i pierwszą połowę sierpnia—ceny hurtowe, które w pierwszych trzech tygodniach lipca okazywały tendencję zniżkową — idą w górę, niektóre, jak np. zboże i mąka, nawet bardzo znacznie. Tendencję zniżkową przejawiają towary, które już znacznie przekroczyły poziom cen 1914 r. (bawełna i przędza, mięso i cukier). Zdaje się, że jednym z głównych powodów tego stanu rzeczy, który tak fatalnie ciąży nad naszym życiem, jest z jednej strony—niezdolność do zrozumienia wartości pieniądza i oduczenie się od jego doceniania i szanowania, z drugiej—w związku z tem—system kalkulacji cen z okresu inflacyjnego.

Organ Stowarz. Kupców polskich w ostatnim numerze (35) „Tygodnika Handlowego” pisze: „Zresztą, jak już kilkakrotnie, musimy powtórzyć, że kwestja sumiennej kalkulacji cen nie przestaje ani na chwilę być aktualną

we wszystkich dziedzinach zarówno przemysłu, jak i handlu. Czas najwyższy, aby powrócić do przedwojennych sposobów handlu i wznieść się do poziomu kupca zachodnio-europejskiego, umiającego zadowolić się skromnym, lecz pewnym zarobkiem." Wymaga to dalszego przekształcenia naszej psychologii i dostosowania się naszej produkcji i pośrednictwa do nowej sytuacji. Nie jest to łatwe i zapewne szybko przeprowadzić się nie da. Skoro na przejście z okresu inflacji do stabilizacji waluty trzeba było paru lat — nie da się, bodaj trudniejszego, procesu sanacji gospodarczej przebyć przez parę miesięcy. Nie pozwalają na to zarówno przyczyny natury gospodarczej, jak i psychologicznej, te same, które kazały naszym sejmowo-prasowym znachorom szukać przyczyny inflacji w napisie na marce polskiej, a nie w braku odpowiednich podatków i zabezpieczenia skarbu od nadużyć na tle rachunkowo-kredyto-

wem. Jest już b. pomyślnym objawem, że poważny organ kupiectwa toruje drogę nowej świadomości. Zupełnie słusznie pisze w cytowanym już artykule „Tygodnik Handlowy": „Tembardziej więc naszym zadaniem jest przeciwdziałać dalszemu rozwojowi obecnej tendencji, pamiętając o tem, że znajdujemy się w okresie najbardziej wytężonej pracy w dziedzinie reorganizacji przemysłu, że kosztem ofiar ze strony Skarbu Państwa i poszczególnych warstw społeczeństwa staramy się dojść do obniżenia cen na nasze wyroby przemysłowe, że wreszcie cały wysiłek społeczeństwa musi być skierowany ku przywróceniu polskim towarom eksportowym zdolności konkurencyjnej i osiągnięciu czynnego bilansu handlowego i płatniczego pod groźbą zachwiania się z takim trudem wywalczonej, stałej waluty polskiej."



Trzeba jednak stwierdzić i podkreślić, że nie tylko kupiectwo, czy rolnictwo i przemysł ulega psychologii z okresu inflacyjnego, ale i konsumenci wszelkich odmian. Z dużą łatwością przychodzi obecnie dawnym „milionerom" rzucać grosze i złote, z dużą łatwością — nauczeni ciągłych dodawań — podnosimy ceny, o ile sami mamy coś do zbycia. Gdybyśmy tak np. przeprowadzili statystykę cen za mieszkania, odnajmowane przez t. zw. lokatorów i porównali z cenami przedwojennymi i wejrzeni w konstrukcję tych cen — przekonaliśmy się, ile w tem jest niezdrowej tendencji do nadmiernych zysków, lichwiarskich, skłonności wyzyskiwania koniunktury bez wszelkich skrupułów.

Walka z tą psychologią i warunkami gospodarczymi, które pozwalają na jej utrzymywanie się — jest jednym z ważnych zadań polityki gospodarczej Rządu i społeczeństwa.

St. S.

Głosy Czytelniczek w sprawie służby domowej

Od dłuższego czasu ciągnie się w „Bluszczu" dyskusja w sprawie służby domowej. Ostatnio artykuł p. C. Walewskiej, umieszczony w num. 36 „Bluszczu" — wywołał wśród naszych Czytelniczek ożywioną wymianę myśli. Przytaczając poniżej dwa głosy Czytelniczek „Bluszczu", przeciwstawiające się wywodom p. C. Walewskiej — chętnie otwieramy nadal łamy naszego pisma dla dyskusji nad tą sprawą, która jest istotnie w tej chwili jedną z najdotkliwszych bolączek naszego gospodarstwa domowego.

(Przyp. Red.).

I.

W artykule swoim w sprawie służby domowej (№ 36 Bluszczu) pani Walewska boleje nad niedolą Kasię Karjatyd i pisze, że jest niezbędna, niecierpiąca zwłoki potrzeba reformy ustawodawstwa o służbie domowej. Projekt p. W. w celu zniesienia „piętnej niewoli" jest zbyt jednostronny. Widocznie i Sejm uważa, że rozstrzygnięcie tej sprawy jest jeszcze u nas przedwcześnie i dlatego projekt ustawy odpoczywa od trzech lat w komisji.

Od robotników, rzemieślników,

urzędników, wymaga się fachowej znajomości rzeczy, sumiennej pracy. Są ministerstwa, w których urzędnikowi za każde spóźnienie się do biura jest skracany urlop letni. Wynagrodzenie ich jest zależne od klasy, uzdolnienia i wyższych studjów. Nasze zaś służące w większości wypadków nie mają pojęcia o służbie, o tem, że czas to pieniądź, nie mają poczucia, że i one muszą spełniać uczciwie, sumiennie, pracowicie przyjęte na siebie obowiązki i że ich wynagrodzenie musi być zależne od uzdolnienia.

Niema chyba takiej pracodawczyni, któraby nie zgodziła się dać służącej dwóch godzin do jej osobistego rozporządzenia, gdyby wiedziała, że ona w zamian za to resztę godzin pracuje sumiennie, nie traci czasu na pogawędki z sąsiadkami, wystawianiu w bramie i t. p.

Chcąc poznać bliżej nasze służące, zachodziłam wielokrotnie w przeszłym roku na Jasną 15 (magistrackie biuro pośrednictwa pracy) i z rozmów z niemi, i z tego, co tam widziałam i słyszałam, przekonałam się, że rzeczywiście sprawa służby domowej jest bolączką nad bolączkami i że potrzebna jest nie tyle ustawa, biorąca w obronę służące, ile ustawa, uwzględniająca potrzeby pracodawców. Służące mówiły mi otwarcie, że na każdej zmianie one tylko zyskują, żądając dla siebie coraz to dogodniejszych warunków i wyższego wynagrodzenia i że to jest właśnie przyczyną tak częstych zmian służby. Na

jakie zaś koszty, przykrości, umęczenie i obawy naraża nas każda zmiana na służącej, wie o tem doskonale każda z nas.

Zakłada się u nas tyle zawodowych szkół, a nie pomyślano o szkołach dla służących. W oczekiwaniu na nie radziłabym urządzenie zebrań, na których pracodawczynie mogłyby się porozumieć i wypowiedzieć chociażby na razie w sprawie rzeczowych świadectw i w sprawie uregulowania płac. Jestto rzeczą nienormalną, żeby służąca początkująca, tak nazwana „do wszystkiego", a nie mająca pojęcia o gotowaniu, sprzątanu, i t. p. brała 30 zł. Wielu urzędników mających rodzinę nie ma nawet po 20 zł. miesięcznie na odzienie i rozrywki dla siebie i każdego członka rodziny.

A może tak poczytne pismo, Bluszcz, zechce otworzyć dział korespondencyj w sprawie służby domowej i zechce zamieszczać uwagi swoich czytelników.

Z. K. F.

II.

Mam wrażenie, że artykuł p. Cecylji Walewskiej w 36 Nr. „Bluszczu" może się stać przyczyną wojny domowej między panią i służącą.

Jakże wygląda ów dzień pracy nawet t. zw. dobrej służącej. Wstaje o godz. 7-jej — ubiera się wolno, a mimo to niestannie — szykuje śnia-

danie z pomocą pani dla dzieci i pana domu, albo i dla pani, idącej do pracy na 8-ą — zjadłszy śniadanie, wychodzi do miasta po codzienne sprawunki i siedzi zamiast godziny — dwie lub trzy. Na zapytanie, czemu tak długo była w mieście — wybucha złością, lub w najlepszym razie odpowie, że tyle czasu było jej potrzeba. Przebrawszy się z sukni, w której szła do miasta, z flegmą zabiera się do sprzątnięcia, choć często jest już ono do połowy przez panią załatwione podczas jej nieobecności. Nawet przeciętnie dobra służąca sprząta jak chce, „było nie było”, aby się nazywało sprzątnięte, jeśli źle, „niech pani robi sama”. Posiliwszy się dostatkiem drugim śniadaniem, zaczyna przygotowywać obiad — spokojnie, wolno, jeżeli się udał, to dobrze, jeżeli nie, to „niech pani robi sama”.

Po obiedzie zmywanie naczyń trwa godzinę, lub trzy zależnie od humoru i od tego, czy jej osobiście na czasie zależy.

Potem interesy na mieście, czas nieograniczony. Następnie herbata wieczorna i przygotowania na noc, które do spółki z nią załatwia się, gdy więcej osób w domu.

Nie dziwiłabym się, gdyby społeczeństwo nasze zakładało domy, w którychby stara lub chora służąca mogła odpocząć wygodnie pod opieką ludzi dobrego serca. Niechby na ten cel opodatkowano wszystkie domy, utrzymujące służbę, tak z miasta jak ze wsi, ale nie można się zgodzić z panią C. Walewską i dawać takie, jak ona warunki służbie, która dostaje całe utrzymanie, mieszkanie, opra-

nie, światło, dodatek do kasy chorych i pensję na swoje wydatki, bez troski o kawałek chleba.

Uczeń, chodzący do szkoły, nauczyciel, lekarz, urzędnik, rzemieślnik — wszyscy pracują od rana do późnej nocy, aby zarobić na utrzymanie chociaż skromne — pierwsza lepsza dziewczyna, nie mająca pojęcia o niczem, żąda od razu wysokiej pensji, choć dopiero w domu swej chlebodawczyni będzie się uczyła swego fachu.

Nonsensem jest również płatność godzin ponadobowiązkowych, gdyż większość naszych służących cały dzień pracuje byle jak i nad wyraz niedbale.

M. P.

NAUCZYCIELKA DOMOWA

I

Niezbyt dalekie to stosunkowo czasy, kiedy wykształcenie młodych dziewcząt sfer zamożnych spoczywało prawie wyłącznie w rękach t. zw. nauczycielek domowych. Nie mówię tu o tych odległych czasach, gdy szkół żeńskich zupełnie nie było, a młode córki szlacheckie oddawane były na dwory możnych, aby tam pod okiem wielkich dam i zacnych matron uczyć się cnót niewieścich i manier wielkiego świata. Chodzi mi o czasy znacznie późniejsze, nieledwie wczorajsze — boć przecież większa część pokolenia naszych matek i babek pobierała naukę wyłącznie w domu.

Do niedawna jeszcze uważano za rzecz nieprzyzwoitą i niebezpieczną, aby młoda dziewczyna chowała się poza domem, aby zdala od opieki macierzyńskiej mogła samodzielnie uczyć się i rozwijać. Toteż poza niewielką ilością rodziców, którzy córki swe oddawali na pensje albo do szkół klasztornych, większość dworów a nawet dworków, przyjmowała nauczycielki domowe, którym na szereg lat powierzała kształcenie i wychowanie dziewcząt. Zamożniejsze domy mieszczkańskie, jak w wielu innych rzeczach, tak i w tem naśladowały zwyczaje ziemian.

Jakaż była ta nauczycielka domowa?

Pomijam wszelkiego rodzaju bony, freblanki, albo jak je powszechnie nazywano guwernantki — przeważnie cudzoziemki — których zadaniem obok opieki fizycznej była przedewszystkiem konwersacja, zwłaszcza francuska. Nie chcę poruszać sprawy, która kiedyś za czasów Klementyny z Tańskich Hoffmanowej i długo potem była bardzo głośna, która i dziś

jeszcze nie przestała być do pewnego stopnia aktualną — mianowicie: czy z punktu widzenia narodowego, a także pedagogicznego wskazaniem jest, aby dzieci nasze zaczynały naukę mówienia od konwersacji w obcym języku. Nie chcę mówić także o wartości pedagogicznej, ani o wpływie wychowawczym tych cudzoziemskich nauczycieli — zwłaszcza w kierunku rozwoju uczuć narodowych i społecznych. Gdyby chodziło o ogólne, poglądowe wskazanie praktycznych rezultatów tego systemu, wystarczyłoby zwrócić uwagę na młodzież sfer arystokratycznych, której wychowanie początkowe i dziś jeszcze spoczywa prawie wyłącznie w rękach cudzoziemców.

Chodzi mi w tej chwili o nauczycielkę domową dla dzieci starszych, której zadaniem było wszechstronne i ostateczne wykształcenie dziewcząt. Od matematyki, przyrody, historii, literatury do robót ręcznych i muzyki, wszystko to musiała umieć i wszystkiego uczyć ta nieszczęsna nauczycielka!

Trzeba przyznać, że pozycja społeczna i towarzyska, jaką zajmowała, nie stała w żadnym stosunku do wszechstronnego i szczytnego zadania, a odpowiadała nader skromnym rezultatom wykonywanej pracy. I nic dziwnego! Trudno od kogokolwiek wymagać, aby z dobrym skutkiem równocześnie mógł uczyć algebry i haftu, fizyki i pięknych ukłonów, historii, literatury, muzyki, obcych języków, tańca i t. d. Trudno tem bardziej wymagać tego od istot, których poziom wykształcenia nie wychodził zupełnie poza ramy podobnego wykształcenia domowego, a którego dominującą cechą była z konieczności chaotyczność i dyletantyzm.

O kwalifikacjach pedagogicznych zaś wogóle mowy być nie mogło.

Takie bowiem przedmioty jak logika, psychologia, pedagogika często nawet z nazwy nie były im znane. Poza tem co najważniejsze — doświadczenia żadnego, żadnych wzorów porównawczych, żadnej kontroli i odpowiedzialności. Jeśli zdarzały się jednostki, które dzięki wybitnej inteligencji, dzięki samodzielnej pracy nad sobą i wrodzonej intuicji pedagogicznej osiągały w tej pracy nauczycielskiej bardzo poważne rezultaty, to trzeba to przypisać tajemniczej sile wrodzonego talentu i powołania.

A jednak było w tym systemie coś, co pod pewnemi względami stawało go ponad system szkolny. Braki naukowo-dydaktyczne rekompensowały wartości natury wychowawczo-moralnej. Bezpośredni wpływ nauczycielki na uczennice, to najbardziej osobiste zetknięcie się ich w codziennym, konkretnym życiu dawały rezultaty pedagogiczne, o których szkoła długo marzyć będzie bezskutecznie. Nawiazywały się serdeczne przyjaźnie, które trwały nieraz przez całe życie, a często nawet zdarzało się, że takie nauczycielki wychowywały nie tylko córki, ale i wnuczki swoich byłych uczennic.

Dziś ten typ [nauczycielki jest już prawie na wymarciu. Tak zwana emancypacja kobiet musiała i w tym kierunku wywołać gruntowny przewrót. Wyższy poziom wykształcenia dziewcząt, bardziej systematyczne i gruntowne przygotowanie czy to do wyższych studjów, czy też do pracy zawodowej, wymagające nauczycieli specjalistów w każdym poszczególnym przedmiocie — musiały jeśli nie zupełnie znieść, to w wysokim stopniu ograniczyć rolę nauczycielki domowej. Przedstawicielki dawnego typu stosunkowo już niewiele, a typ nowy, który stosownie do zmienionej istoty zmienił także i nazwę na: „nauczy-

cielkę prywatną", należy uważać raczej za pewien czynnik pomocniczy dla szkoły, która zresztą stała się prawie wyłącznym systemem kształcenia dziewcząt.

Nie da się zaprzeczyć, że pod względem wykształcenia, a często także pod względem kwalifikacji pedagogicznych t. zw. nauczycielka prywatna o wiele przewyższa dawną nauczycielkę domową, ale z drugiej strony trzeba podkreślić jej bezsporną niższość pod względem wychowawczym, niższość, wynikającą z pewnej dorywczowości, czy też tymczasowości jej pracy nauczycielskiej.

Nauczycielki prywatne są to przeważnie słuchaczki uniwersytetu, które prawie wyłącznie dla chwilowych względów natury finansowej podejmują się przez pewien okres czasu przygotować daną uczenicę do jakiegoś egzaminu. Taki stosunek pedagogiczny musi więc dla obu stron z góry mieć charakter dorywczy i fragmentaryczny. Dla uczenicy w tym wypadku właściwą instytucją wychowawczą jest szkoła, do której prędzej czy później wstąpić zamierza, albo dom, o ile nauka odbywa się wyłącznie prywatnie — w każdym razie nie owe wciąż zmieniające się nauczycielki. Dla takiej nauczycielki zaś „kondycja” jest tylko chwilowym, przejściowym okresem zbierania środ-

ków na dalsze studia, albo czekania na właściwą posadę.

Chciałam podkreślić fakt, że nowy typ nauczycielki prywatnej nie może zastąpić „wychodzącej z mody” dawnej nauczycielki domowej, że dorywczowość pracy, brak wszechstronności w traktowaniu zadania pedagogicznego czyni z niej siłę tylko pomocniczą, która w najlepszym razie może osiągnąć pewne rezultaty dydaktyczne, nigdy zaś w tych warunkach nie może stać się samodzielną siłą wychowawczą!

A jednak mimo zmienionych warunków życia, mimo zmienionych zapatrywań na zakres i metodę kształcenia kobiet — rola nauczycielki domowej nie przestanie być aktualną.

W naszym kraju sfery ziemiańskie stanowią bardzo poważny procent zamożnej inteligencji. Dziś znaczna część córek obywatelskich wyjeżdża do miasta na naukę i w ciężkich warunkach — bo źle odżywiane w przepelnionych budynkach szkolnych, bez dostatecznej opieki wychowawczej — dobija się do matury. Tylko znikomo mały procent tych dziewcząt robi właściwy użytek z tego przygotowania t. zn. poświęca się studjom wyższym, lub pracy fachowej. Znakomita większość po maturze lub 1—2 latach bezcelowego pobytu na uniwersytecie wraca do domu, aby wyjść

za mąż, osiąść na gospodarstwie i skonstatować zupełną rozbieżność między swoim przygotowaniem do życia, a zadaniami, które na nie spadają.

Jakkolwiek bowiem zapatrywać się będziemy na t. zw. kwestię kobiecą, czy będziemy za ograniczeniem pola jej działalności, czy też zgodzimy się na dopuszczenie kobiet do rywalizacji z mężczyzną we wszystkich dziedzinach jego pracy — jedno jest pewne, że większość kobiet powołana jest do zadań macierzyństwa i tych prac, które związane są z pojęciem ogniska rodzinnego. Że dzisiejsza szkoła średnia, zorganizowana zupełnie indentycznie na wzór szkoły męskiej, do tych zadań nie przygotowuje, to przyznają już dziś najbardziej zagorzałe feministki. Coraz bardziej ustala się zdanie, że ten system kształcenia może mieć rację bytu, tylko w zastosowaniu do pewnej kategorii dziewcząt, szczególnie uzdolnionych, a w każdym razie wyraźnie powołanych czy to do pracy naukowej, czy do jakiegoś zawodu publicznego. Dla ogółu młodzieży żeńskiej potrzebna jest szkoła średnia o zupełnie innym charakterze, z innym zakresem nauk, inną metodą i w innym duchu prowadzona.

(c. d. n.).

K. S

4) STARY SĄCZ

ZE SZKICOWNIKA.

LATO.

Powietrze gorące; rozproszenie, rozpasanie świata; dążenie do przestrzeni, do jak największych obszarów; rozrastanie się ciała, wylot duszy na bezmiary; kąpiel w powietrzu i w wodzie, nurzanie się w słońcu; grające świerszczami pola i łąki; barwy, barwy czerwieni, złota, szafiru: chabrów, malw, maków; zapachy: róż, jaśminu, poziomek; soczystość: jagód ciemnych i czerwonych wśród lasów, — dojrzewających czereśni i wisien w ogrodach; brzęk kos, — rytm pracy pochylonych nad żniwem ludzi, — południe — upalne, w którym wszystko nieruchomieje, — radość, wirująca i taneczna, bezbożna i pogańska — oto jest Lato na wielkich dolinach wśród gór Małopolski.

POPRA D I DUNA JEC.

W skwarze lipcowego południa idziemy ścieżkami polnemi ku Popradowi. Część zbóż już ścięta; żniwiarze układają złociste kopy. Mijamy stojące jeszcze zagony pszenicy i owsa. Gęsto przetykają je koralowe maki i oplatają dzikie białe powoje. Powietrze dzwoni. Dzwonią sierpy; dzwo-

nią nieustannie, jak rozpostarty drut telegraficzny, owady i owadki, świerszcze i koniki polne. Powietrze drobną falą drga nad polami. Jest niewymownie letnio, wsiowo, lekko. Płyniemy. Wyciągnięte ramiona nurzają się w żywiule niesłychanie pieściwym, przyjmując ochładzające muśnięcia wiatru.

Wchodzimy na duży obszar, pokryty niską trawą i szeregami rozsiadłych wierzb. Stada wron i kawek pierzchają z krzykiem trwogi i, zatrzepotawszy się niewysoko nad ziemią, spadają tłumnie opodal; wśród nich roi się jakieś mniejsze, szarobrunatne ptactwo, płochliwe i czujne. Od czasu do czasu przesunie się rybitwa. Im dalej, tem gęściej wyrasta wierzba, tworząc zarośla wikliny, przez którą przedrzeć się trudno. Płynie tam strumień, ubrany w spiree, pszeńce i osty. W miejscu, gdzie wiklina się kończy, widzimy szeroką, czystą, szybko płynącą wodę. Przejrzystość jej odsłania dno, gęsto kamieniami pokryte. To P o p r a d, biegnący w wylębionem zdawna korycie. Na wiosnę zalewa rozległe łąki, przez które przeszliśmy. Płynie popod Stary Sącz, Rytro, Piwniczną, Żegiestów — odziera tu Polskę od Czechów. Z okien

wagonu widać go na tej drodze, gdyż biegowi jego towarzyszą szyny kolejowe od Rytra do Żegiestowa. Jak wielki wąż o srebrzystej łusce lśni się w dzień — w nocy przyjmuje w sobie i odrzuca światło księżycy i gwiazd.

Po tamtej stronie Czechy. Po tamtej stronie, tuż nad rzeką — kilka chałup o oknach i drzwiach zabitych deskami. Chałupy te osierociałe i osamotnione opowiadają o tem, co się stało: oto ich mieszkańcy, pragnący być obywatelami Polski, po określeniu granicy, — zamknęli chaty swoje na cztery spusty, zaparli drzwi i przenieśli się z tem, co unieść mogli, na polską stronę. Nie bacząc na następstwa.

O kilka kilometrów od Starego Sącza wśród łąk wiklinowemi krzakami porośłych zlewa się Poprad z Dunajcem. Poprad cichszy, spokojniejszy wpada do rwącej, gwałtownej, skaczącej po kamieniach rzeki. Dunajec spływa od Tatr, od Nowego Targu, gdzie powstał z połączenia się Czarnego z Białym. Szybki jest, po zatorach kamiennych pluskający i tańczący małemi wodospadami. Woda jego mieni się w słońcu, od Popradowej chłodniejsza.

W miejscu, gdzie zlewają się obie rzeki, jest pusto, daleko od ludzkich siedzib, dziko i samotnie. Lecz samotność tę wypełnia coś ogromnego, coś, co daje się z trudnością nazwać: duch wody, duch powietrza, duch ziemi. Wśród pustki tej człowiek ogarnięty zostaje i otoczony tą obecnością i rozumieniem jej trwania. Woda przelewa się, płynie, zmienia, na chwilę nieruchomieje—lecz trwa, nie przestaje być i srebrzyć się w słońcu, żywa i ciągle nowa.—Woda mówi: szemrze, uderzając o kamienie — i mowa ta również trwa, chociaż głos jej cichnie, lub wzmagają się, stając hukiem nabrzmiałego gniewu.

Oddycha się tu jeszcze pełniej i szerzej niż na polu. Płynąca woda ciągnie w bezkres; ruch jej otwiera zamknięte stawidła duszy, wyzwala siły, zahamowane i skute.

I tu woda jest przezrocza, lecz jeszcze bardziej czysta i po kamieniach drobniej zmiądzonych płynąca. Siła jej niszczyliśko-twórcza jest wyższa; srebrzystość powierzchni większa; syczyty, z których się narodziła, bliższe nieba.

Ręce zagłębiają się w przeczystej, zimnej rzece. Ciało chciałoby wejść w nią, wnikać, przeistoczyć się w tę tajemniczą, płynną substancję: — stać się kroplami wody i w nią wcielone iść jako fala wartka, kołysząca się, chwiejna, połyskliwa, mięk-

ka, — iść pod niebem letniem, słonecznym, czy gwiaździstym, pod powiewami powietrza — w wiecznym z niem braterstwie — ku największemu obszarowi i głębi — ku oceanowi.

KRZYŻ.

Za miasteczkiem, ku południowozachodowi ciągnie się las. Piękny, wielki, pokrywa najbliższe wzgórza, tworząc ciemno-zieloną głąb świerków, jodeł, sosen, przerywaną młodzieńczą jasnością modrzewi. W mroku drzew, w świeżości i pustce uwijają się drozdy, dzięcioły, wilgi, kosy. Pełno tu ptactwa, gadatliwego i śnać niepłoszonego przez człowieka—łowcę, czy strzelca. Ścisząc krok, można zatrzymać się o kilka metrów od tych skrzydlatych istot i „podpatrywać” ich życie, nie budząc podejrzeń, ani strachu. W głębi lasu jak niespodzianki — naświetlone słońcem dawne poręby, wonnemi, wysokimi trawami i bogactwem kwitnących roślin pokryte. Stąd, z takiej wyrwy, położonej dość wysoko, widać kraj, Beskidy, Dunajec, Nowy Sącz — czerwone dachy, zielone pola i łagodną falę wzgórz.

U wejścia do tego lasu, od strony Sącza Starego, w zaciszu kilku drzew, wśród bujnej trawy, bardzo na uboczu, jakby ukryty,—stoi Krzyż. Wielu ludzi nie widzi go pewno wca-

le; żadna ścieżka doń nie prowadzi,—wyrasta nagle przed kimś, kto przypadkowo spostrzegł wśród listowia rozkołysanych gałęzi jego szaro-brunatne ramiona. Tabliczka na nim nosi następujące wezwanie, żalodne, rozpaczliwe, stylem z przed stu lat wypowiedziane:

D. O. M.

„Racz odwiedzić Groby nasze, Pobożny Czytelniku, wołamy martwemi ustami. Zebrzemy Ratunku, abyś raczył zmówić pięć paciędzy, pięć zdrowaś, Marya, i wierzę w Boga, i tylesz, wieczny odpoczynek do ukrzyżowanego, IEZUSA, którego sprawiedliwie Ręka tak okropną i nagłą śmiercią dotknęła. Wiemy, że jest sprawiedliwy, ale i miłosierny, aby zatwoiła modlitwą Raczył nas uwolnić od mąk czyścowych, a was zachował od takiej śmierci. A. D. 1832. Amen. D. 20. Augto.)*

(c. d. n.)

N. Samotybowa.

*) Pisownia podana ściśle według oryginału.

CLAUDE FARRÈRE.

MIĘDZY PIĄTĄ A SIÓDMĄ

(DE IING Ó SEPT).

Pokój, bardzo ładny i urządzony z wytwornym zbytkiem, przybrany był jak na uroczystość! Na stole zastawiony był podwieczorek, a obrus koronkowy zasiany był fjołkami. Ziarnka myrry płonęły w kadzielnicy. A około czterech lamp, girlandy storczyków spadały kaskadą, na kształt abażurów. Szerokie i niskie łóżko okryte było makatą chińską, czarownie haftowane tysiącem odcieni, przypominających wiosenne niebo... Wreszcie na gęstej wełnie dywanu, droga z różanych płatków wiodła od drzwi do stołu...

Ale w łóżu wspinałem, leżał człowiek konający, którego ręce przejryste robiły już ruch przedśmiertny naciągania prześcieradła — okrywania go całunem. U wezłowania siedziała jedynie pielęgniarzka, brzydka w swej sukni z szarego płótna.

Fryderyk de Guibre tego wieczoru kończył życie. Piorunująca choroba sercowa. Cztery dni temu — zdrowie. Teraz agonja. Ratunku żadnego, zresztą. Przed chwilą wyrok padł z ust lekarza. Guibre odważny zażył prawdy. Powiedziano mu ją: cztery godziny życia jeszcze, ani jedna więcej...

— To znaczy mniej więcej do ósmej?...

— Tak.

— Dobrze. Dziękuję, I umilkł.

Na twarzy już stężała, nie mallowało się nic: ani ból, ani trwoga. Rozmyślał stoicznie.

Miał zatem umrzeć, dziś, we środę...

We środę! Od czterech lat blisko, w każdą środę przychodziła, nigdy nie chybiając, kobieta. Przychodziła do tego samego pokoju gdzie on, Fryderyk de Guibre, miał dziś umrzeć. Kobieta, która dla niego, była kobietą jedyną, ubóstwioną, czczoną, uwielbioną, kochanką, siostrą, przyjaciółką, bogini, dobra wróżka... wszystko, wszystko razem... Kobieta, do której, świadomie czy nieświadomie, kierował każdy ze swych czynów, każdą ze swych myśli, każde ze swych marzeń. Kobieta, której poświęcił wszystko, dał wszystko, z rozrzutnością — z radością, z rozkoszą, z szalem...

Przychodziła w każdą środę. Przyjdzie i w tą, ostatnią.

Przyjdzie za chwilę. Ujrzy ją. Dla niej był podwieczorek zastawiony, droga z róż usłana, pokój przyozdo-

biony. Ujrzy ją. Umrze w jej ramionach. Na ustach już bezkrwistych, uśmiech powstał, trwał... Raz jeszcze zaznał słodyczy uścisku, zakosztował raz jeszcze miodu pocałunku, zaprawdę, zaprawdę, śmierć nie była wielką rzeczą wobec tego szczęścia nadziemskiego.

Zegar ścienny wydzwonił piątą. Umierający pomyślał:

— Nie spóźni się przecie...

Spóźniła się tylko czterdzieści minut.

Coprawda, nie wiedziała, że umierał. Nie wiedziała nawet, że był chory. Zatrzymała się na progu, zdumiona i przerażona:

— Och Fredzie! jesteś cierpiący?...

Spojrzał na nią, bez goryczy ani melancholji:

— Tak... To nic nie szkodzi...

Zbliżyła się. Podeszła do łóżka, przewyciężając wstręt niepokonany. Ucałowała wdzięcznie gorącą i suchą skroń.

— Mój biedaku, to nic ważnego, nieprawdaż?

— Nie...

Pielęgniarka odeszła dyskretnie. Byli sami. On powtórzył:

— Nie... to nic ważnego... Jesteś przy mnie...

Chciał koniecznie, aby wszystko się odbyło według zwykłego rytuału, aby zdjęta toczek, żakiecik futrzany, rękawiczki, aby zasiadła do podwieczorku. Spoglądał na nią chciwie, pił ją rozszerzonymi żrenicami, chcąc zabrać do mogiły obraz ukochany, odbity, wyrzeźbiony, odcisnięty w głębi oczu...

Ona, napoły uspokojona tem ożywieniem, jakie okazywał jeszcze, uśmiechała się i była posłuszną. I zwolna pokój śmierci napełniał się wdziękiem, wonią i niemal wesołością...

Lecz gdy skończyła podwieczorek i usiadła tuż przy łóżku, gotowa do gawędki, odsunął ją nagle, gdyż czuł śmierć coraz bliższą:

— Chwileczkę...

Spojrzała zdziwiona. Mówił głosem zmatowanym, w którym czuć już było rzeźenie:

— Kochanie moje, najprzód... trzeba... abys otworzyła tę szafkę... tak, tę właśnie... natychmiast... Weź klucz... pod poduszką... Natychmiast, bo za chwilę... będzie może... za późno...

Zerwał się w niej strach nagły. Przeczowała, nie śmiejąc jeszcze rozumieć. On kończył z trudem:

— Tam są... twoje listy... wszystkie... Trzeba... tak, trzeba... abys je wzięła... ze sobą... dzisiaj. Albo lepiej... abys je spaliła... tu zaraz... na kominiku... Trzeba tak zrobić, kochanie... abym potem mógł spać spokojnie... Zbrakło jej tchu. Cofnęła się o dwa kroki i oparła o ścianę, przerażona:

— Och Fredziu! co ty mówisz?...

Spokojnie skinął głową:

— Mówię... tak... to, co słyszałaś... Moje kochanie... to nic... do prawdy nic... I nie trzeba, nie trzeba... abys się martwiła...

Krzyknęła i ukryła twarz w dłoniach. Nie czuła bólu, raczej strach, przerażenie; przerażenie bezgraniczne.

Kochała go, to było pewne. Kochała go bardzo serdecznie, tak jak kochają kobiety po czterech latach wiernego przyzwyczajenia... I za chwilę, gdy opanuje pierwsze wrażenie, uczyje z pewnością szczyry ból na myśl, że on ma umrzeć... że ją opuści, opuści na zawsze. Prawdziwy ból, tak! Lecz ból, który tonął na razie wobec przeraźliwego strachu przed śmiercią. W łóżu tem, za chwilę będzie leżał trup, lodowaty, sztywny, grozę budzący... Stała o cztery kroki od łoża, nie śmiejąc odsonić twarzy. A gdy konał, uczyje głosem jeszcze pewnym, powtórzył: „Weź klucz...”, zbliżyła się z oczami zamkniętymi, i ręką drżącą sięgnęła pod poduszkę...

Znalazła kluczyk. Podeszła ku małej, chińskiej szafce, czarnej, tajemniczej: Otworzyła drzwiczki hebanowe. I zdumiona, zneruchomiała bez słowa, z ręką na drzwiczkach otwartych...

Szafka była właściwie kapliczką, sanktuarjum, wybitem jedwabiem, wysłanem aksamitem i oświetlonem lampą ponsową, podobną do lamby liturgicznej: W złotej kadzielnicy paliły się wonności wschodnie i przejryste

smugi pachnącego dymu wznosiły się jak modlitwy ku rodzajowi ołtarzyka, którego trzy długie pudełka ze skóry drogocennej tworzyły podstawę. Nad niemi wisiała miniatura, przybrana we wspaniały rząd pereł, ikona bogini, żyjącej bogini, która sama otworzyła sanktuarjum i stała porażona i takim zdumieniem przejęta, że zapomniała o swej trwodze...

Ale głos umierającego, już mniej wyraźny, wznosił się znów:

— Pudełka... trzy pudełka...

Drżąca ręka oderwała się od drzwiczek. I trzy pudełka, jedno po drugim, opuściły sanktuarjum...

Były to trzy skrzyneczki ozdobne, ze skóry wytłaczanej; podobne do oprawy starych mszałów. Wnętrze było wysłane wonnemi saszetkami: i pomiędzy te saszetki spoczywały listy miłosne, jak relikwie w relikwiarzu...

Głos, głuchy teraz i świszczący, rozkazał:

— Spal!...

Lecz kobieta tak czczona, tak ubóstwiana, tak ukochana nie usłuchała odrazu: stała milcząca i nieruchoma. Spoglądała na listy i na skrzyneczki drogocenne i na dziwną kapliczkę, wspaniałą i tajemniczą. Oddychała atmosferą pełną powagi, która płynęła z tego wszystkiego... I rozumiała, poraz pierwszy i nagle, całą olbrzymią miłość, jaką ją kochanek darzył. Wzięła machinalnie jeden z listów, pierwszy lepszy. Co ona tam mogła pisać takiego, coby zasługiwało na takie uwielbienie? co włożyła w te stroniczki z duszy swojej, aby uczynić je godnymi tej religijnej czci, jaką im oddawano?

Przeczytała:

— „Mój drogi, nie czekaj mnie jutro. Przyjdź we środe jak zwykle. Ileż razy już ci mówiłam, że częściej nie mogę? Jutro mam tysiące spraw do załatwienia, dwie miary, jedną herbatkę, wizyty... Nie. Bądź równie rozsądny, jak ja. Daję ci ręce swe do ucałowania...”

Wzięła drugi:

„Mój przyjacielu, proszę cię, bądź ostrożniejszy. Nie pisz do mnie podobnych szaleństw. Czy nie wystarczy ci jeden dzień w tygodniu, aby mi je wypowiedzieć? Pomyśl o przykrościach bez końca, jakie ściągająby na mnie taki list rozpieczętowany...”

I jeszcze:

„Twoje kwiaty są najładniejsze, jakie dostałam w życiu; wyglądają jak gdyby wybierane były każdy z osobna... Chcę cię wynagrodzić: przyjdź dziś wieczorem do Opery, będziemy tam całą wesołą bandą, pójdziemy potem wszyscy na kolację... i obiecuję ci jako niespodziankę, bardzo piękną suknię, której nie znasz jeszcze...”

Dwie łzy trysnęły z oczu; nagle zamglonych.

Jakto? tylko tyle? i to było wszystko?

I naraz wielki, gorzki wstyd załapał serce rozdarte, zropaczone, bólem przejęte. Rozumiała teraz, czuła, widziała. Ubóstwiano ją tak, jak po-

bożni ubóstwiają swoją Madonnę; a ona nie kochała, nie kochała nigdy. Na tę namiętność wspaniała, którą była otoczona cała, odpowiadała banalnym przywiązaniem, zaledwo zabarwionem odcieniem serdeczności i odrobiną zmysłowości. I oto ten kochanek, który jej dawał tyle, a któremu odpłaciła tak marnie, musiał umrzeć, miał umrzeć dzisiaj, i nie pozostanie jej ani jeden dzień, aby mu oddać, bodaj w jednym uścisku, żar za żar, szal za szal, płomień za płomień?...

Poryw rozpaczy rzucił ją na kolana przed łożem. I do ręki już stygnącej, bezpamiętnie przytuliła wargi. Miała mówić, wypowiedzieć wszystko, wylać całą duszę, wyszlochać żal swój i wyrzuty. Lecz w tejże chwili, zegar na ścianie wydzwonił siódmą. I on przemówił:

— Już jest czas... Przyszłaś... dziękuję... A teraz czas... odejź! Żegnaj!...

Podniosła głowę. Spoglądała na niego. Słyszała, lecz nie rozumiała. Powtórzył:

Odejź!... Już czas, siódma! Trzeba, żebyś wracała...

Ale ona zaniósła się łkaniem i gwałtownie przywarła wargami do zimnej ręki, która usiłowała się cofnąć.

— Odejść? Odejść, teraz?...

I krzyknęła, niemal dziko:

— Odejść teraz, gdy wiem, jak mię kochałeś; jak mię kochasz?... Odejść, i zostawić cię samego, pozwolić ci umrzeć samemu, ja, która cię nie kochałam i która teraz dopiero kocham, i mam ci do oddania całą miłość twoją, do spłacenia jej w ciągu tych ostatnich, pozostałych chwil?... Odejść, nie rzuciwszy ci z kolei serca mego pod nogi, abys je zdeptał?... Nie, nie, nie, nie!... Nigdy!...

Ale on wówczas podniósł się wysiłkiem straszliwym:

— Odejść! — powiedział głosem ozywionym cudem energii. — Tak, odejść!... Jest siódma; i już w domu czekają na ciebie, a nie trzeba, aby czekano; nie trzeba, aby dziwiono się albo niepokojo. Gdyż jutro życie musi trwać dalej dla ciebie, pogodnie i równe, i nic nie może przejawiać się na zewnątrz z tego, co było życiem nas dwojga. Żaden ślad tego nie powinien być widoczny dla ludzi i żadne podejrzenie nie powinno nigdy musnąć skraju twej białej szaty!... Tak, musisz odejść, wrócić do siebie, do męża, do dziecka, uśmiechnąć się do nich obojga — a o mnie zapomnieć! Nie mów, że nie, ja tak chcę. A jeśli rozumiałaś dziś to, czego dotąd nie pojmowałaś, jeśli chcesz mi spłacić dług, o którym nie wiedziałaś dotąd — płac więć! Ja sam wybieram zapłatę, ja jej wymagam: to twoje posłuszeństwo! Usłuchaj więc, idź sobie! Mogę umrzeć samotnie, chcę tego. I nie płacz więcej: syn twój zobaczy twe oczy czerwone. I nie martw się już. Gdyż dajesz mi teraz moją część radości... dasz mi ją... gdy usłuchasz!

Usłuchała go. Odeszła.

A Frederyk de Guibre umarł samotnie, w pół godziny później.

Tłumaczyła: M. D.

17)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(D o w i e ś ć)

— Ja nawet chciałam do rządowej, ale niema miejsca.

— Teraz zapisywać nie można—broni się Wanda.—Koniec roku szkolnego. Po wakacjach niech się panie zgłoszą z dziećmi.

— A gdzie panienko, gdzie? do Kriegerów?

— Można i do Kriegerów. Ja przyjdę, albo kto inny, przeegzaminuje je i zapisze.

— A kiedy proszę pani?

— Będzie naznaczony dzień. Kriegerowa powie.

Kobiety żegnają ją z jakąś serdecznością głęboką, siostrzaną.

Wanda nie konspiruje przed nimi. Już i tak wiedzą! Dziwna to tajemnica! Wiedzą o niej tysiące dzieci warszawskich, ich rodziny, wiedzą nauczycielki, ich krewni, przyjaciele i znajomi, wie zresztą prawie każdy dobry Polak, a nie wie ta wroga potęga, co panuje nad miastem i krajem, a wciąż trzyma ucho przyłożone do piersi narodu, śledząc oddechul...

Wanda puka do znajomych drzwi.

Cieniutki głosik dziecięcy pyta:

— Kto tam?

— Otwórz!

— Mama poszła do miasta, zamknęła drzwi i wzięła klucz — kłamie ten sam głosik bez zająknięcia.

— A ty sama jesteś?

— Sama.

Wanda puka teraz trzy razy. I mówić głośniej:

— No, otwórzcie, nie bójcie się, to ja.

Za drzwiami szmer:

— Proszę pani, ja patrzyłam przez dziurkę—to panna Wanda!

Otwierają się drzwi i w drzwiach, jeszcze trochę nieufna, ukazują się mizerna twarzyczka młodej nauczycielki.

Z uśmiechem wpuszcza Wandę do wnętrza izdebki, tak małej, że cała prawie jej obszar wypełnia stół, składany w ten sposób, by po lekcji jak najmniej zabierał miejsca.

Przy stole siedzi gromadka płowych piskląt. Piszą właśnie pod dyktandem:

„zeby kuska nie skakała, toby nuszki nie złamała.

— A ślicznie Janku! — mówi Wanda.

Janek gwałtownie zamienia u na o z kręską, bezkłopotliwie pozostawiając na miejscu resztę ortograficznych niedokładności.

Nauczycielka ustępuje miejsca Wandzie i idzie w kąciku, na kuchni poprawiać kajety.

Wanda będzie miała lekcję historii.

Bierze na kolana małą strażniczkę szkółki, kłamczynię trzyletnią i zaczyna opowiadać:

Lekcja o królu Łokietku; jak musiał uciekać z ojczyzny, jak powrócił, jak się przed wrogiem ukrywał w czarnej, wilgotnej jaskini!... Po ścianach pieczary ściekała woda. Wyjście zawalone było ogromnym, ciężkim kamieniem, ale pożywienia królowi nie zbrakło, bo znosił mu je lud okoliczny; mali pastuszkowie znali tajemne korytarze, zarośnięte krzakami i jedliną, więc podkradali się niemi i znosili królowi swojemu chleb czarny, z gniazd ptasich wybrane jajka...

Dzieci słuchają wprost urzeczone. Świeża wrażliwość tych dzieci z ludu jest nieporównaną słuchaczką. Chłoną każde słowo, nie zapomną nigdy—smucą się wraz z królem tułaczem, radują jego zwycięstwem.

Baśń cudna tęczyje posępne ściany ubogiej izdebki i przemienia ją nagle w świątynię narodowego ducha.

Cisza: Wtem mały Władzio podnosi mądre spojrzenie wielkich czarnych oczu na twarz nauczycielki i mówi z wielką powagą.

— A my, prośe pani, to jak ten król Okietek, tak my się chować musimy...

Wanda patrzy nań, i myśli: Ludu polski, Łokietku tułaczu! Kiedyż włożysz królewską mytów koronę? Kiedyż tron przodków zasiądziesz?...

Dziś jest także egzamin na Krochmalnej. Wanda nie pójdzie na obiad. Nie ma już czasu. Musi stawić się punktualnie. Dzieci czekają. Służba państwowa!.. Podziemnego Państwa Polskiego ministerjum oświaty...

...Ach! zbudowaćby można gmach taki podziemny, w całości. Oświata już jest — jeno rozszerzyć ją na cały kraj!

Sprawiedliwość — odrzucić sądy ciemieżców, nakaz moralny stawić: własnym tylko sądom dobrowolnie podlegamy — przynajmniej w sprawach cywilnych!..

Administracja — podatek stały choćby minimalny, ale od wszystkich! Stworzyć organizację jak była w r. 62 i 63.

Posłuch bezwzględny!

Armia tajna... Wstępować do armji państw zaborczych, do armji państw zachodnich z uplanowanym z góry zamysłem! Przygotować korpus oficerski, a potem możnaby może próbować organizacji wojskowej w Galicji i odpowiedniego momentu czekać!.. moment ten—wojna ludów...

Z głową marzeń pełną weszła do ponurego domu na Krochmalnej.

Dzień pył późnej wiosny, upalny już i słońce nagrzało straszliwie duże ale duszne poddasze, kędyś na piątym piętrze, lokal tajnej szkoły.

Mimo gorąca, dzieci zastała nastrojone uroczyście, radosne i pewne siebie; dziewczynki w białych, odświętnych sukienkach, chłopcy pomyci gruntownie!

Egzamin trwał długo: dzieci chciały się popisać zdobytym w ciągu roku plonem. Trzeba było zadawać dużo pytań, gdyż na każde czekała gotowa, radosna odpowiedź, a uczucie zawodu i przykrości malowało się na bladawych twarzyczkach za każdym razem, gdy egzaminatorka uznawała zgłębianie ich wiedzy za dostateczne już: one miały „Pani”, jeszcze tyle do powiedzenia. Był to komplet dzieci starszych, tak zwany „drugi oddział” i wyjątkowo dobrze dobrany. Egzamin szedł doskonale, a szedłby jeszcze lepiej, gdyby Wanda nie była tak śmiertelnie znużoną. Noc całą nie spała, przygotowując odczyt dla jakiegoś kółka oświatowego na prowincji, od rana biegła za płasnami lekcjami; potem była w tajnej szkółce, teraz ten egzamin! Konieczność szczególnego przez kilka godzin skupienia uwagi i wyteżenia pamięci, wysiłek przystosowywania się do odmiennej psychiki każdego dziecka dopełniły miary.

Czuła, że ustaje.

Rulsy w skroniach biły coraz gwałtowniej, ból wrogi, mętny rozszedł czoło.

Dusznno, ciężko, nieznośnie!

Doprowadziła jednak egzamin do końca, ale już nieprzytomna prawie wracała do domu przez ohydny, żydowską dzielnicę. Wyziewy sklepów i straganów z mięsem, rybami, cebulą, głosy chrapliwe, zaciekłość żargonowych kłótni sprawiały jej dotkliwy, fizyczny ból...

Nieświadomie jakoś dowlokła się do ubogiej nauczycielskiej izdebki „przy rodzinie” i padła na kolana obok sofki, głowę rozbolałą ogarniając drżącymi dłońmi.

Żle jej było, słabo, mdło, nieznośnie! Jak, gdy człowieka wszystko, wszystko już opuści, już nie chce niczego! Żle! straszno!

Młoty jakieś wałą w skroń, coś dławi i dusi, myśl się mąci i serce zamiera. Gorycz nieznośna na spieczonych wargach, i nad wszystko okropniejsza niemoc duszy!

(c. d. n.).

VICENTE BLASCO IBANEZ

5)

Przekład z hiszpańskiego. r. c.

STARUSZKA Z KINEMATOGRAFU

(D o k o ũ c z e n i e)

Ona, z włosiem siwym, rozwianym na wietrze, podnosiła w górę, starcze ramiona, śpiewając Marsyljanke. Tłum przyjmował ją oklaskami. Nikt nie wiedział, kto to jest, ale widok jej wywierał bezwiedny szacunek, jaki zawsze budzi starość. Byli tacy, którzy widzieli w niej zamierzchłę echa dawnej glorii rewolucyjnej, odradzającej się w triumfie do życia po letargicznym śnie stuletnim.

Nagle ocknęła się, stojąc już osamotniona na ziemi. Znikła armata i znikli młodzi ludzie, którzy się do niej wprzęgli. Znajdowali się teraz na ulicy Royale, naprzeciwko najwykwintniejszych lokali restauracyjnych. Klienci „Maksyma”, ludzie bogaci, mogący sobie pozwolić na taki zbytek, obdarzali tłum butelkami wina, aby godnie uczcić wielkie wydarzenie.

Sama nie wiedząc, jak to się stało, wciągnięta została do rozmowy z grupą żołnierzy amerykańskich. Poznała ich jedynie po filcowych beretach, mających cztery symetryczne wgłębienia i ostro zakończonych. Dzielni chłopcy, silni i zdrowi, mający poczciwy, dobroduszny wygląd. Znajdowała w niektórych pewne podobieństwo do Alberta.

— Niech żyją Stany Zjednoczone!

Starala się być zrozumianą przez nich, raczej za pomocą gestów i mimiki wyraziściej, aniżeli słów. Ale mniejsza o to!... Byleby była wazjemna sympatja i dobra woła!...

Oni zaś, pobudzeni wesołością staruszki, wybuchali, jak dzieci, kaskadami śmiechu, w którym zarysowywał się wydatniej pod skórą mocny układ szczęk i odsłaniała się lśniąca białosc prawdziwie zazdrości godnej emalji zębowej.

Uniosła zwierzchnią spódnicę, aby móc zanurzyć rękę w ukrytą pod nią wielką kieszeń płócienną, zawieszoną u pasa, w której przechowywała pieniądze, potrzebne jej do handlu. Była przy flocie, mogła ugościć nowych swoich przyjaciół.

Żołnierze opierali się ze śmiechem, nie chcąc pozwolić, aby kobieta fundowała im!...

Jedyny z nich, mówiący dobrze po francusku, odpowiedział poważnie:

— Ależ my jesteśmy bogatsi od pani. Płacą nam dolarami.

Spojrzała na garść drobnych, które trzymała w ręku. Same susy, nic więcej! Ale mniejsza o to!

— Jesteście moimi gośćmi, zapraszam was! Rozplączę się ze zmarzwienia, jeśli mi odmówicie.

Weszli z nią do kawiarni i w ciągu pół godziny zdrowi chłopcy w wydłużonych beretach pili, śmiejąc się do rozpuku, ze słów i gestów wesołej starowiny.

Potem piła jeszcze z noszącymi najrozmsztsze mundury cudzoziemcami, a nawet z żołnierzami francuskimi, którzy, wbrew powszechnemu szałowi, nie rozpogodzili jeszcze twarzy, jako ludzie, którzy nie zdołali jeszcze zbudzić się ze zmyru straszliwej, dławiącej ich od tyłu już lat.

Kiedy wreszcie zapadła noc, poczula się biedaczka straszliwie zmordowaną. Zdawało jej się, że cały ten olbrzymi tłum potratował ją ciężkimi nogami swojemi; miała wrażenie, że spadły na nią miliony razów.

Instynktownie nieomal skierowała się ku domowi.

Szła wolno, powłócząc nieco nogami. Jednakże, mimo zmęczenia, łączyła głos swój z okrzykami wszystkich, spotykanych na drodze, grup.

Potrzeba odpoczynku i przyzwyczajenie zaprowadziły ją do winiarni.

Zastała tam Crainquebilla, samotnego i milczącego, siedzącego przed prózną szklanką, w której dno wpatrywał się melancholijnie.

— Stawiam i tobie także! rzekła. Dzisiaj jest wielki dzień. Pokój! No, i co mówisz o tem.

Crainquebille wrzusił ramionami. W chwilę później jednak, ożywiwszy się na widok drugiej szklanki, postawionej mu przez przyjaciółkę, zaczął przemówić:

— Może ludzkość będzie usiłowała stać się lepszą po tej próbie okrutnej; może odrodzi się i nauczy się żyć z odrobiną logiki: — Naśladowając mistrza swojego, uśmiechnął się ironicznie. Czuł, że ogarnia go wieczne zwątpienie, uzupełnił więc myśl swoją, dodając:

— Chociaż, co prawda, nikt nie może stwierdzić, czy biedna ta ludzkość zasługuje na to, aby zostać odrodzoną i aby zajmowano się wogóle jej przyszłością...

W dobrą chwilę potem poczuła staruszka ponętę nowej pokusy. Przypomniała sobie z rozkoszą ciemną salę kinematografu i codzienne odwiedziny swoje w niej, które uważała za coś niebiańskiego. Biedny Albert nie wiedział pewnie nic jeszcze o wielkiej nowinie, która wstrząsnęła Paryżem i całym światem. Pójdzie i powie mu o tem.

— Do widzenia! Muszę iść! Mój wnuk na mnie czeka. Dla biedaków niema święta. Tej nocy będzie przedstawiał, jak zawsze.

Wędrowny filozof, który pogodził się ostatecznie z ułudą, jakiej oddawała się jego stara towarzyszka, uważał za właściwe dać jej kilka wskazówek:

— Słuchaj, zgubisz się w ten sposób. Prawie nic nie jesz i za dużo pijesz. Trwonisz pieniądze, gotowa jesteś bodaj stracić kapitał. Wczoraj musiałaś kupić na kredyt połowę towaru... Przez ten ostatni tydzień zestarzałaś się tak, jak gdyby ci przybyło kilka lat. — I znów po tej mądrej przemowie, okolił usta jego uśmiech wiecznego zwątpienia.

— Zresztą, jeżeli ci to sprawia przyjemność!...

Stara podreptała pospiesznie w kierunku kinematografu, mimo że nogi odmawiały jej prawie posłuszeństwa. Tam przynajmniej, w tej ciemnej, miłej sali, wygodnie sobie odpocznie.

Ulice były jeszcze ciemne, jak podczas nocy wojennych, groźących ciągłym niebezpieczeństwem ataków powietrznych. Tłumy tworzyły liczne grupy. Grano na rozmaitych instrumentach; na zbiegach ulic tworzone bale improwizowane.

Kiedy weszła nareszcie na podwórze domu, gdzie był kinematograf, woźny, stojący przy drzwiach, przywitał ją wesołym okrzykiem:

— Niech żyje pokój, babciu!

A potem dodał, jak gdyby przypomniał sobie szczególnie mało-ważny.

— Wnuk wasz nie „przedstawia” dzisiaj!... Skończone. Mamy nowy obraz, warto zobaczyć!...

— Co?...

Stara, blada jak opłatek, z rozszereżonemi nadmiernie źrenicami, oparła się plecami o mur. Woźny usiłował wytlómaczyć, aby odpowiedzieć na jej okrzyk trwogi.

— Minęło już siedem dni. Zupełna zmiana programu! Publiczność ma dosyć historii Alzaty i Prusaka. Teraz, kiedy zawarto pokój, trzeba będzie dać coś innego. Nie takiego, co przypomina wojnę!... Musimy o niej zapomnieć!... Potrzeba nam rozrywki! Wejdźcie, babciu, mamy dzisiaj przekomiczny film amerykański.

Staruszka chwiała się na nogach, mimo że w jednej chwili rozwiały się w jej mózgu przyjemne opary wina, które upoiło ją nieszkodliwie.

— Nie widzieć go więcej!... Nie widzieć go więcej!... jęczała.

A potem streściła swój ból w kilku słowach:

— Zabili mi go drugi raz!

Wchodząca publiczność skupiła się dokoła mdlejącej z rozpaczy kobiety. Woźny, zdjęty potroszę litością, a głównie, chcąc uniknąć zatrzymywania się tłumów, usiłował pocieszyć i rozweselić biedaczkę.

— Głowa do góry babciu!... Nie macie chyba zamiaru dzisiaj, kiedy spotkało nas takie wielkie szczęście, umrzeć tylko dla tego, że zmieniliśmy program... A zresztą... zresztą...

Poprosił kasjerkę o gazetę i zaczął szybko przebiegać ją wzrokiem, wspinając się na palce, aby więcej światła padało z zawieszzonej u stropu lampy. Równocześnie mamrotał:

— Do licha!... Muszą przecież gdzieś dawać tę idjotyczną historję Alzatki. Stary film, kupiony okazjnie, cały posklejany i złożony z kawałków. Napewno będą go dawali w kinach piątego rzędu... Tak, tak, mamy go.

I, zwracając się do starej, wymienił jej nazwę ulicy i tytuł kinematografu.

— Trochę to daleko, babciu, do Grenelle; na drugim końcu Paryża, ale możecie wziąć metro... Będziecie mogli oglądać tam waszego wnuka przez cały tydzień jeszcze.

Odwrócił się od niej, zmuszony do zajęcia się publicznością, która, widząc zapowiedź nowego programu, napływała tłumnie.

Staruszka znalazła się znów na ulicy. Jedna już tylko opanowała ją myśl.

— Zabili mi go—powtarzała.— W tym dniu, kiedy wszyscy się cieszą, zabili mi go po raz drugi!

Ale w tej samej chwili zbudziła się w niej na nowo niezłomna energia cichej, pokornej, ale nie pokonanej, woli działania. Zabili go tutaj, ale zmartwychwstanie gdzieindziej. Musi iść mu naprzeciw.

Namaciała pod spódnicą płócienną kieszeń, zawierającą jej kapitały. Ręka jej natrafiła na próżnię. Po uporczywych poszukiwaniach znalazła wreszcie kilka monet: wszystkiego pięćdziesiąt centymów.

Tyle tylko, aby zapłacić za bilet do nieznanego kinematografu w Grenelle. Wydała wszystko podczas hulanki popołudniowej. Będzie musiała iść piechotą, a to tak daleko... tak strasznie daleko!...

Brzydka myśl zmarszczyła jej czoło.

— Gdyby tak poprosić o jałmużnę!... Dzisiaj dzień wielkiego święta, wszyscy się cieszą. Ulitują się może, widząc ją taką starą i bezsilną...

Natychmiast jednak, pomimo zmęczenia odepchnęła od siebie z uczuciem obrażonej dumy tę myśl fatalną. Nigdy jeszcze nie wyciągała ręki do nikogo, a mając siedemdziesiąt lat za późno już zaczynać.

— Muszę go widzieć... Muszę koniecznie zobaczyć go!... Upadła ze zmęczenia na ławkę, pomiędzy dwoma drzewami bulwaru... Drzwi kawiarni i winiarni jaśniały w cieniu

niby otwory czeluści rozpalonych ognisk. Muzyka licznych orkiestr zlewała się w wesołą dysharmonję. Zakochane pary przechodziły, ginąc w mroku; wojacy z dalekich krajów, opasujący ramieniem kibić wybranki.

— Tak daleko! tak strasznie daleko! — nie przestawała pojękiwać biedna starowina.

Nagle, ujrzała przed sobą uśmiechającego się do niej żołnierza całego w bieli, od kasku szturmowego do czubka wielkich butów. Wydawał się jak gdyby cały kryształowy, albo z leciuchnego oparu czy z pianki nieuchwytnej.

Dał jej znak, aby szła za nim, a widząc, że jest mu posłuszną, zaczął iść naprzód.

— O, moje nogi... Nie będę mogła iść za nim... Tyle kilometrów, nie dojdę, nigdy nie dojdę.

Upadła na następną ławkę, a przezroczysty żołnierz zatrzymał się, zwracając ku niej smutną, rozpaczliwie posępną twarz...

— Nie martw się! Gdybyś wiedział, jak jestem zmęczona! Ale twoja babka nie opuści cię nigdy... Czekaj na mnie, Albercie. Idę za tobą, chłopcze mój... moje dziecko...

I zbierając ostatnią resztkę sił, dźwignęła się, iść zaczęła za zjawą nieskończonemi, czarnemi ulicami...

...Tak idziemy wszyscy, poprzez smutki i gorycze życia, za przewodem wspomnień naszych, naprzeciw Uludzie...

21)

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824—26)

VI

1 grudnia 1923 pisze Teresa do męża list cenzuralny, odbijający od ostatnich smutnych kartek swoją nie-naturalną werwą:

6 godzina 7 rana, w domu.

„Mój drogi Fryderyku! Oddawna już twój ojciec i ja układaliśmy projekt, aby zwrócić się do ojcowskiego serca Jego C. Mości i prosić o złagodzenie twego położenia. Nadzieja, że J. C. M. przybędzie do Włoch i nieobecność Jego w Wiedniu wstrzymywała nas dotychczas. Stan twego zdrowia, coraz niepomyślniejszy skłania nas do pośpiechu. Za pół godziny jedziemy: twój ojciec, mój brat Gabrjel i ja. Jesteśmy najlepszej myśli“.

W dalszych kartkach z drogi ten sam optymizm: pogoda jest „prześliczna“, droga „przepyszna“, gospoda w Wiedniu „przewyborna“, a tylko zakończenie listu z Wiednia brzmi, jak jęk bolesnej tkliwości:

„Z daleka i z bliska i wiecznie, serce moje i myśl moja, nie mogą się oderwać od Ciebie“!

Kiedy pani Teresie oznajmiono, że nad głową jej męża zawisła śmierć, mężna kobieta nie załamała ani na chwilę beczynnienie rąk.

Feldmarszałek Bubna, który okazał się w nieszczęściu prawdziwym przyjacielem obojga małżonków, pospieszył już przedtem do Wiednia, pragnąc oczyścić Confalonierego z jednego przynajmniej, niesprawiedliwego i potwornego zarzutu, jakoby magnat lombardzki knuł zdradziecko-morderczy zamach na człowieka, bywającego poufale w jego domu. Ze smutkiem stwierdził, że cesarz jest najfatalniej usposobiony dla oskarżonego, którego uważał za człowieka „zepsutego do szpiku kości“, tem więcej godnego potępienia, iż pochodził ze sfery, która powinna świecić dobrym przykładem. System obrony, którego chwycił się hrabia, mimo całej świetności jego djalektyki, posłużył tylko do zaciśnięcia oplatającej go sieci zarzutów i rozdrażnił Sal-

vottiego. Genjalny inkwirent podkreślił w raportach swoich to, co i cesarz Franciszek odczuł już w pierwszym zetknięciu się z Confalonierem, a mianowicie, że ten Włoch w głębi swego sumienia nie uważa się za poddanego Austrii i dlatego „zamiast należytnej skruchy, zdaje się czasem chlubić ze swych zbrodni“. Takiego człowieka należało, zdaniem cesarza, zgnieść i dać w jego osobie przykład odstraszący całej arystokracji włoskiej.

To też Bubna, widząc jedyną możliwość ocalenia bodaj życia hrabiego w pokornym rzuceniu się rodziny do nóg monarchy, wysłał co rychlej gońca do Medjolanu, zaznaczając, że niema ani chwili czasu do stracenia. Wyrok był już w rękach cesarza. Chociaż żadnych faktów nie zdołano Confalonieremu dowieść, to jednak z zeznań wyciśniętych ze współoskarżonych, z jego własnych tłumaczeń się nawet, ustalono zarzut porozumiewania się z wrogiem kraju i organizowania tajnego towarzystwa w ce-

lach obalenia rządu. Była to zatem zdrada stanu, a za nią w kodeksie austriackim istniała jedna tylko kara: śmierć na szubienicy.

Pani Teresa pospieszyła do teścia. Niech on, sługa niegdyś wierny austriackiego dworu, pospieszy z nią do Wiednia. Chodzi o głowę syna. Nie od razu zgodził się hrabia Witaljan. Musiała biedna synowa wysłuchać całej litanii zarzutów starego dworaka przeciw synowi „Jakóbinowi“, który hańbą okrył siwą głowę ojca. Nie obyło się bez gorzkich napomnień, że ona to przez swój niemądry patriotyzm przyczyniła się do szaleństw i zguby męża, podczas gdy kobieta rozsądna umiałaby być pohamować go swym wpływem. Mimo wszystko starzec, stękając i gderając, zebrał się do drogi. Gabrjel Casati, oddany siostrze całą duszą i pełen podziwu dla jej męskiego zgoła hartu, nie szczędził starań, aby jej ułatwić ciężką podróż. Drogi były zasypane śniegiem, na Semmeringu zawierucha biła w oczy podróżnym. Mimo rozpaczliwego niepokoju, jaki naglił ich do pośpiechu, mimo koni rozstawnych, czekających wszędzie, przybyli do Wiednia dopiero 8-go grudnia.

Czekał na nich generał Bubna i uprzedzeni przez niego życzliwi ludzie, do których liczył się w pierwszym rządzie hr. Wurmbrand, ochmistrz dworu cesarzowej. Natomiast poseł włoski Sauran, b. gubernator w Medjolanie, nie tał swej niechęci wobec przybyszów, którzy na jego ręce musieli wnieść prośbę o audjencję u cesarza. Bubna zapytał z pewnym niepokojem Teresę, czy wie, jaki jest ce-

remonjał przyjąć? Podając suplikę musi uklęknąć, czy nie będzie to zbyt przykrem dla jej patriotycznej dumy?

— Czyż ja przed nim uklęknę? — odpowiedziała z prostotą biedna kobieta — klęczeć będę przed Bogiem, przed którym już od dwóch lat leży w prochu dusza moja. —

Audjencję wyznaczono dopiero na dzień 24-go grudnia, w dzień Wilji Bożego Narodzenia, ale — co niedobrym było znakiem — cesarz zgodził się przyjąć tylko samych mężczyzn.

Franciszek I-szy liczył wtedy lat 56. Siwy był, wysoki i bardzo chudy. Miał na sobie biały frak, czerwone spodnie, szeroko obwisające na cienkich nogach, lakierowane buty węgierskie. Twarz jego wydłużona, z obwisłą habsburską wargą, nie miała w sobie nic majestatycznego. Zwyczaj rozjaśniał ją uśmiech, za którym przepadali Wiedeńczycy, dziś jednak była chmurna i szara jak z gutaperki.

Przemowy starego hrabiego Witaljana nie dosłuchał nawet do końca i rzekł twardo:

„Ein Exempel muss statuirt werden! Musi być dany przykład!“ I zaczął wyliczać wszystkie zbrodnie syna, mieniącemu się na twarzy ojcu.



Gabrjel Casati słuchał skrzypiącego, bezdźwięcznego głosu starego cesarza, patrzył na zadowolony z siebie uśmiech, z jakim ten przeświadczony o swej boskiej misji, człowiek mówił o karach i kaźniach i czuł, że uderza mu do głowy szalona chęć pochwylenia za gardło tej bezdusznej lalki, dysponującej życiem i śmiercią milionów.

Z największym wysiłkiem zmusił się do przybrania pokornej postawy, gdy monarcha wprost do niego się zwrócił:

„Jeżeli hrabina chce jeszcze pożegnać się z mężem, to niech się spieszy z powrotem do Medjolanu“.

I poklepawszy po ramieniu, gestem pozornie dobrodusznym, starego hrabiego, ze słowami: „Armer Vater! biedny ojciec!“ cesarz obrócił się plecami do petentów.

Gabrjel Casati długo nie miał siły, by wrócić do zajazdu, gdzie czekała w śmiertelnej trwodze biedna siostra. Krok za krokiem włókł się przez mroczne ulice Wiednia, pełne wesołego tłumu, gotującego się na „Christabend“. Gdy spojrzął w twarz Teresy, poznał, że wie już o wszystkim.

„Ból jej był niezmierny, ale nawet w tej strasznej chwili nie było w nim nic trywjalnego. Nie spazmowała, nie szlochała. Ciche łzy płynęły jej po twarzy. Była to boleść poważna, skupiona w sobie, osoby, która umie panować nad sobą i ugodzona ciosem, już myśli w jaki sposób zaradzić okropnemu nieszczęściu“.

(c. d. n.)

K, Bielańska

9) CEL I ZADANIA PEDOLOGJI

Pedagogiczne znaczenie zabawy bezpośredniej, spontanicznej, polega na tem właśnie, że dziecko, jako istota dojrzewająca, przywyka urzeczywistniać na zewnątrz to, co czuje w duszy, że staje się dla niego rzeczą niezbędną, jak gdyby wpływającą z przyrodzenia, odtwarzanie i budowanie realne tego, co porusza jego istotę duchową. Tem samem uczy się ono nie przechodzić obojętnie i bezczynnie przez życie, nie wegetować egoistycznie, ale stać się zdolnym do poświęcenia się dla idei, do wpręgnięcia się w służbę dla spraw umiłowanych, a nadewszystko, nie zajmowania się temi sprawami dorywczo i przelotnie, lecz z takim samym oddaniem i wytrwałością, z jakimi bawiło się, będąc dzieckiem.

— Niepodobna przypuścić — twierdzi Prüfer — aby dziecko, któremu nie pozwalano od najwcześniejszego okresu bawić się bez krępowania jego swobody, które stale prowadzone było na pasku i kierowane,

a któremu tem samem odebrano całą siłę i cały impuls do samorozwoju, ażeby takie dziecko mogło stać się potem nagle wolnym, silnie na sobie samym polegającym osobnikiem. Dlatego też winni dorośli strzec się dławienia — przez ciągłe korygowanie i prostowanie — naturalnego pędu duszy dziecięcej do uzewnętrzniania się i do samoistnego ujawniania treści swojej wewnętrznej w bezpośredniej, niczem nie krępowanej zabawie. Interwencja dorosłych w tym wypadku zabija w dziecku to, co jest w niem najlepszego, najbardziej samoistnego, gasi boską iskrę jego twórczości,

Dlaczego dzieci warstw najzamożniejszych nie odpowiadają tak często w następstwie wymogom szkoły, a potem życia? Ponieważ zanadto je tresowano, ponieważ stale pozostawały w otoczeniu dorosłych, ponieważ od maleńkiego wtrącały się bony i guwernantki do ich zabaw, ponieważ nigdy nie dawano im hasać, a tem samem rozwijać się swobodnie, po-

nieważ zawsze krępowano ich wolę, ucinano skrzydła ich fantazji, paraliżowano ich pomysłowość i tem samym już w pokoju dziecięcym psuto je i uniesamodzielniano.

Oparcie całego wychowania dziecka na wrodzonym jego pędzie do samorozwoju i samodzielnego rozwijania swoich uzdolnień drogą nieskrępowanej żądni przepisanymi zewnętrznymi, samoistnie twórczej zabawy winno być naczelnem hasłem rodziców i wychowawców. W praktyce zasadę tę przeprowadzić należy w ten sposób, aby pozostawiać dziecku przy zabawie możliwe maximum swobody, aby mu zapewnić w jaknajszerszym zakresie możliwość zabawy bezpośredniej, to znaczy pozostawiać je przy zabawie jak najwięcej samemu sobie i towarzystwu rówieśników, bacząc jedynie, aby nie ponosiło ono przy tem szkody na ciele ani na duszy. Od najwcześniejszego dziecięctwa należy zapewniać dziecku jaknajwięcej możliwości swobodnego poru-

szania się, dawać mu sposobność możliwie częstego i pełnego ćwiczenia i naprężenia mięśni.

U maleńkich dzieci już w ciągłym uderzaniu o twarde przedmioty ujawnia się potrzeba ruchu i zamięłowania do dźwięków. Jak ptaki, tak i dzieci potrafią godzinami zachwycać się, upajać nieledwie, wydawanymi przez siebie same dźwiękami. Z tego umiłowania dźwięków i tonów, rozwija się wcześniej w dziecku znajdowanie przyjemności w rytmice. Instynktowny pęd ten otwiera pole dla całego szeregu prymitywnych, na pozór nedorzecznych, zabaw, których nie należy bronić dziecku, ani też uważać je za kaprys czy rozgrymaszenie, jak to czynią najczęściej znużeni i zmęczeni tem rodzice i wychowawcy. Wszystko to, co może nam się wydawać niegrzecznością, uporem czy nieposłuszeństwem, jest przeważnie wpływem potrzeb naturalnych istoty dzieciństwa. Narządy ruchowe dziecka tak samo domagają się ruchu, jak zmysły odpowiedniego pobudzania ich. Jak silny jest pęd ten u dzieci, wskazuje obserwacja, dokonana na pewnej ślepej i głuchej od urodzenia dziewczynce amerykańskiej, Laurze Bridgman, która, mimo że ani widzieć nie mogła, ani słyszeć, co robią inne dzieci, bawiła się godzinami całymi wydawaniem pewnych dźwięków. Zdawało się, że sprawia jej przyjemność samo wprawianie w ruch krtani, warg, języka i szczęk. Zawsze pamiętać winniśmy, że instynkt dziecka dyktuje mu ten, a nie inny rodzaj zabawy, że więc woli jego w tym względzie możliwie nigdy krępować nie należy.

Nadewszystko zaś w stosunku do zabaw i gier dziecięcych, jako doniosłego czynnika wychowawczego, przyświecać nam winna najmędsza w swoim lakonizmie rada Colozziego: „Maximum samoistności dziecka i minimum interwencji dorosłych“.

IV

CZEM ZAJĄĆ DZIECKO?

„Nawet w najwcześniejszym okresie życia dziecka nie można zajmować go wyłącznie zabawą“ — twierdzą pedagogowie współcześni, poświęcający liczne prace rozważaniu, jakie zajęcia — obok zabaw winny być brane pod uwagę w stosunku do dzieci w okresie przedszkolnym.

I tu znów przychodzi pedagogice z pomocą pedologia. Szczegółowe badania duchowego ustroju dziecka, jego upodobań, tendencji i nawyków wykazuje — że, obok wrodzonego dzieciom wszystkich warst i narodowości pędu do zabawy — już we

wczesnym bardzo wieku występuje niemniej wyraźnie pęd do czynu. Pęd ten, nie znajdujący dostatecznego ujścia w zabawie wyłącznie, znaleźć musi nasycenie w podsuwanych dziecku, odpowiednich jego wiekowi i rozwojowi, zajęciach.

Trudno jest, niewątpliwie, przeprowadzić ścisłą granicę — zwłaszcza u małych dzieci — pomiędzy zajęciem a zabawą. Istnieją jednak zasadnicze pomiędzy nimi różnice, polegające na tem, że o ile — jak widziliśmy — rola wychowawców przy zabawie winna być możliwie jak najbardziej bierna, o tyle zajęciem dzieci należy umiejętnie — acz zawsze dyskretnie — kierować. Gdy bowiem zabawa jest przedewszystkiem ujawnieniem wewnętrznego, duchowego życia dziecka, jest natomiast zajęcie czemś, przychodzącym z zewnątrz i dziecku narzuconem. Przy zabawie znajduje wyraz dusza dziecka, gdy przy zajęciu bierze główny udział ciało jego, członki i zmysły. Podczas zabawy żyje dziecko w nie-realnym, przez nie samo wymyślonym świecie fantazji, natomiast zajęcie przykuwa je do rzeczywistości otaczającego świata. Że zaś zarówno świat wewnętrzny jak i zewnętrzny są jednak cennymi czynnikami życia, odgrywa też zajęcie — na równi z zabawą — doniosłą w wychowaniu dziecka rolę.

Przy wyborze zajęć odpowiednich dla dzieci winny być brane pod uwagę dwa kierunki, w jakich, jak to wykazuje psychologja dziecka, ujawnia się pęd jego do czynu: instynkt ruchu i pęd do obserwacji, występujące bezpośrednio po pierwszych przejawach życia noworodka: po jego instynkcie szukania pokarmu oraz instynkcie samoobrony.

Wszystko, co żyje, musi, aby rozwijać się i wzmacniać, być odpowiednio ćwiczone. Podstawowe to prawo natury ujawnia się u małych dzieci nieustanną potrzebą ruchu, podczas którego ćwiczone są ich mięśnie. Dlatego też nierozsądkiem, co więcej, krzywdą, wyrządzoną dziecku, jest żądać od niego, aby zachowywało się spokojnie. Dr. Adolf Czerny, autor kapitalnego dzieła: „Der Arzt als Erzieher des Kindes“ (Lekarz, jako wychowawca dziecka) kładzie szczególny nacisk na potrzebę odpowiednio regulowanych zajęć i ćwiczeń cielesnych dla najmłodszych już dzieci, chłopców i dziewczynek zupełnie bez różnicy.

(c. d. n.)

Emilja Tecka.

WALKA ZE ŚMIERTELNOŚCIĄ NIEMOWŁĄT w BELGJI

Okres niemowlęstwa, obejmujący pierwszy rok życia, wyróżnia się niezmiernie wysoką śmiertelnością. Jest to zjawisko powszechne, acz w różnych krajach, zależnie od poziomu kulturalnego, zwłaszcza zaś kultury wychowania dziecka, niejedolite pod względem natężenia. Najgorzej, wręcz monstrualnie, przedstawiają się stosunki w dziedzinie umieralności niemowląt w Rosji, na Węgrzech i w Rumunji, najpomyślniejsze stosunki panują w krajach skandynawskich. Polska dotknięta jest nader silnie klęską umieralności niemowląt i dlatego zagadnienie walki z umieralnością najmłodszych ma dla Polski szczególnie doniosłe znaczenie. Należy sobie uprzytomnić, iż chodzi tu o sprawę pierwszorzędnego znaczenia: w chwili obecnej w Polsce znaczny odsetek (do 20 proc.) noworodków żywych umiera w pierwszej wiosnie życia, a zatem mniej więcej piąta część ogólnej liczby urodzeń idzie na marne, gdy przy istnieniu odpowiednich warunków wychowania niemowląt, umieralność ich mogłaby być czterokrotnie niższa. Nie potrzeba dowodzić, że tak ze względów społecznych, jak również gospodarczych owa nadmierna umieralność niemowląt jest nieszczęściem. Należy z niem walczyć, a walka jest możliwa, gdyż przyczyny zgonów niemowląt są w lwiej części usuwalne. Przykład energicznej, umiejętnej i skutecznej walki z umieralnością niemowląt daje Belgja. Przedstawiony niżej obraz stosunków belgijskich jest fragmentem przygotowanej do druku rozprawy o umieralności dzieci w 1 roku życia.

W latach 1878—1912 w Belgji — podług „Annuaire International de Statistique”, II (Haga, 1917) — na 100 urodzeń żywych przypadało zgonów w 1 roku życia: 1876/85—15,5; 1886/95—16,3, 1897/1905—15,3, 1909/12—13,9.

Przytoczone wyżej współczynniki świadczą o tem, iż w rozpatrywanym czasokresie w Belgji stosunki w dziedzinie umieralności niemowląt przedstawiały się niezbyt pomyślnie. Szczególnie znaczna była umieralność niemowląt w dziesięcioleciu 1886/95: w tym okresie średnio każdy szósty noworodek umierał w pierwszym roku życia. Pewna poprawa w stosunku do poprzedzającego dwudziestolecia zaznaczyła się w latach 1897/1905, jeszcze pomyślniejsze stosunki obserwujemy w czteroleceniu 1909/12.

Jeżeli porównamy współczynniki umieralności niemowląt w Belgji ze współczynnikami innych krajów europejskich, to przekonamy się, że w okresie 1876/1914 stosunki belgijskie w o-



mawianej dziedzinie zbliżone były do stosunków, panujących w krajach, sąsiadujących z Belgią, mianowicie Holandji i Francji.

Pożoga wojenna 1914 roku unicestwiła wspomniane podobieństwo stosunków w tych trzech państwach. W Holandji, pozostającej poza nawiasem wojny, stosunki w dziedzinie umieralności niemowląt kształtowały się niezmiernie pomyślnie. Trwający od szeregu lat proces poprawy postępował tu w niezmiennym trybie naprzód, sprowadzając współczynnik umieralności niemowląt z 11,5 w okresie 1905/14 do 8,7 w latach 1915/17. Inaczej we Francji. W kraju tym, dotkniętym katastrofą wojenną, umieralność niemowląt wzrosła się. Współczynniki tej umieralności niemowląt wynoszące w latach 1912/14 niespełna 11, podniosły się w dobie wojny znacznie, mianowicie odsetek zmarłych w 1 roku dzieci wynosił w r. 1915—14, 1, w 1916/17—12,3, w 1918—13,8. Stwierdzić należy, że za równo spadek umieralności w Holandji jak i wzrost jej we Francji były na tle warunków tych krajów objawami zrozumiałymi.

Belgji, dotkniętej wojną szczególnie dotkliwie, wzrost umieralności niemowląt zagrażał w spotęgowanej mierze. Społeczeństwo belgijskie rozumiało atoli niebezpieczeństwo i podjęło na szeroko zakrojoną skalę akcję zaradczą. O akcji tej czytamy w niesmacznej zresztą i szkodliwej ze względu na germanofilskie tendencje książce p. p. J. Olszewskiego i inż. T. Tatarczuka p. t. „Belgia i jej opieka społeczna w czasie wojny” (Lwów, 1917), co następuje:

„Społeczeństwo belgijskie wzięło się od chwili wybuchu wojny do pogłębiania i rozszerzania istniejącej już w kraju oddawna akcji opieki nad matkami i niemowlętami. Utworzono w całym szeregu miast instytucje „Oeuvre de la layette”, mające na celu dostarczanie kobietom w ostatnim okresie ciąży silnych posiłków, uregulowanie ich zarobkowej pracy, dostarczenie lekarza i położnej, sprawienie wyprawki i dostarczenie posiłnego pokarmu w okresie karmienia. Matki muszą się zobowiązać, że same będą karmiły swe dzieci, a zwolnienie od tego obowiązku mogło nastąpić jedynie na mocy orzeczenia lekarza. Wszystkie matki wspierane, bez względu na to, czy karmią same, czy nie, muszą przedstawiać dziecko co niedzielę do badania. Ministerstwo sztuk i umiejętności, spełniające zadania Ministerstwa spraw wewnętrznych, wezwało w styczniu 1915 r. wszystkie rady miejskie do zakładania ochron i żłobków dla niemowląt. Bogate jednostki organizowały prywatne akcje z własnych funduszów. Tak np. w miejscowości La Hestre została urządzona prywatna stacja „Goutte de lait”, w której wydawano bezpłatnie mleko dla niemowląt i udzielano wsparć dla matek. Aby móc dostarczyć dla niemowląt więcej mleka i wspierać czyn-

nie akcję „Kropki mleka”, pozakładano w całym kraju wzorowe obory krowie, a użyto do tego celu licznych stajen wyścigowych, zaofiarowanych przez rozmaite towarzystwa chowu koni i wyścigów”.

Tej akcji Belgia zawdzięcza, iż w pierwszych latach wojny natężenie umieralności niemowląt nie tylko nie wzrosło się, lecz przeciwnie zmalało. Świadczą o tem poniższe współczynniki, zaczerpnięte z publikacji Ministerstwa przemysłu i higieny „Annuaire Statistique de la Belgique et au Congo Belge”, 1915—1919 Bruksella, 1922/: W r. 1914—13,0, w 1915—12,5, 1916—11,6. W dwóch ostatnich jednak latach wojny, gdy stosunki w kraju, wyniszczonym długotrwałą okupacją, uległy znacznemu pogorszeniu, umieralność niemowląt wzrosła się. Uwidoczniają to przytoczone niżej współczynniki: 1917—14,0; 1918—13,4.

Po ustaniu wojny i okupacji nieprzyjacielskiej występuje radykalna poprawa. Już w pierwszym powojennym 1919 roku umieralność niemowląt spadła do 9,9 proc. w Belgii nieznanego. Teraz dopiero ujawniły się w całej pełni skutki w czasie wojny dokonanej, znakomitej rozbudowy opieki nad niemowlętami. W 1920 r. odsetek zmarłych w 1 roku życia dzieci wynosił 10,4, a w 1921 r. 11,5. Jeżeli porównamy dane z trzylecia powojennego 1919/21 z danymi z okresu 1909/12, to zobaczymy, że po wojnie przypadał średnio 1 zgon w pierwszej wiośnie życia na 10 urodzeń żywych, gdy w ostatnich latach przed wojną — na 7 urodzeń żywych.

Wracając do porównania stosunków belgijskich ze stosunkami holenderskimi i francuskimi, stwierdzić wypada, że w okresie powojennym Belgja pod względem umieralności niemowląt idzie w parze z Francją (współczynniki francuskie: 1919 r.—12,3 1920 r.—9,9, 1921 r.—11,5. Holandja, oszczędzona przez kataklizm wojenny, zdystansowała te kraje i należy dziś do krajów o najniższej umieralności niemowląt (współczynniki holenderskie: 1919 r.—8,4 1920 r.—7,3, 1921 r.—7,6, 1922 r.—6,7).

Parę słów jeszcze o miastach belgijskich.

W stołecznym mieście Brukselli umieralność niemowląt była w ostatnich trzech dziesiątkach lat ubiegłego stulecia b. wysoka. W dziesięcioleciu 1901/10 zaznaczyła się znaczna poprawa w tej dziedzinie. Radykalna poprawa przypada na ostatnią dobę. Skreślony tu przebieg ilustrują poniższe współczynniki umieralności niemowląt w Brukselli, zaczerpnięte z publikacji p. t. „Rapport annuel de la Direction de l'hygiène publique de la ville de Bruxelles” (Bruksella, 1922): 1867/70 — 20,3 1871/80 — 20,0. 1881/90—18,8, 1891/1900—18,4, 1901/10 15, 8, 1910/15 — 14,2, 1916/20 — 10,9, 1921—10,5. Wspomniana wyżej urzędowa publikacja zawiera adnotację, iż spadek umieralności nie-

mowląt w dobie wojny jest rezultatem rozszerzania odpowiednich działań opieki społecznej. Przytoczyć warto, że po wybuchu wojny w Brukselli powstało 19 stowarzyszeń opieki nad dziećmi (Société de l'assistance de l'enfance) oraz cały szereg zakładów opiekuńczych.

W Leodjum (Liège)—podług „Rapport annuel de la population” (Leodjum, 1922)—współczynniki umieralności dzieci w 1 roku życia przedstawiały się następująco:

1902/11—13,7	1917—16,3
1912—10,7	1918—13,3
1913—12,4	1919—11,4
1914—14,2	1920—11,0
1915—12,4	1921—10,0
1916—13,4	

Przyglądając się powyższym cyfrom, widzimy, że umieralność niemowląt w Leodjum stopniowo zmniejsza się i że w latach powojennych zaznaczyły się szczególnie znaczne postępy.

Dane, które przytoczyliśmy, świadczą, iż walka z umieralnością niemowląt w Belgji wydała b. dobre owoce. Społeczeństwo belgijskie dało godny naśladownictwa przykład troski o zdrowie i życie swych następnych generacyj.

Edward Rosset

Naczelnik Wydziału Statystycznego
Magistratu m. Łodzi

NA MARGINESIE DZIEJÓW „MĘCZENNICZY NA TRONIE” *)

O Marji Leszczyńskiej wie nasz ogół szeroki niewiele. Księżniczka polska na tronie francuskim, żona najpiękniejszego i najlekkomyślniejszego monarchy 18-go wieku, córka dobrotliwego króla — filozofa, pani na Wersalu miłosierna i świętobliwa: to i wszystko.

P. A. Wyleżyńska podjęła trud zbadania obszernej literatury od d'Argenson'a po Voltaire'a, Stryjeńskiego, Kraszewskiego i Walpole'a. Zgłębiła pozatem źródła archiwalne, dotyczące Polki, podniesione do szczytu najwyższej hierarchicznej godności swojej epoki. Opanowawszy olbrzymi materiał historyczny, anekdotyczny, muzealny i kronikarski, dała barwną książkę, która wypełniła wielką lukę w historii naszej literatury.

*) Z powodu książki Aurelii Wyleżyńskiej: „Marja Leszczyńska na dworze Wersalskim”. Z przedmową Stanisława Wasylewskiego. Nakładem wydawnictwa Polskiego. Poznań—Lwów.

Życiorys M. Leszczyńskiej — od chwili pertraktacji o rękę jej dla Ludwika XV, aż do dnia śmierci — czyta się jednym tchem, jak najciekawszą powieść, o tyle bardziej interesującą od dzieła wyobraźni, iż wie się, że każdy szczegół oparty jest na ścisłej prawdzie historycznej. Autorka stara się być możliwie obiektywną, mimo to wszakże pióro jej zdradza niezbyt wielką sympatię dla „biernej i lękliwej” — jak ją nazywa — królowej.

Czy istotnie tylko przez bierność i lękliwość stała się ona męczennicą na tronie? I czy istotnie, jak cień, jak zboliałe, nieszczęsne widmo tylko przesunęła się przez dwór Wersalski, nie zostawiając śladu po sobie?...

Trzy alternatywy były przed nią. Albo prześcignąć dworską przewrotność i wyrefinowaną kokieteryję kochanek Ludwika i tym sposobem wydrzeć im z rąk władzę. Ale do tego nie byłaby zdolna jej czysta, szlachetna dusza. Albo podjąć walkę śmiertelną z rozpustą i cynizmem chwili.

Co wtedy? Przy kim zwycięstwo?... Nie przy garstce rycerzy cnoty, bo ci ginęli w zastępach orszaku królowej rokoka „boskiej markizy”. Nie przy gromadce tych, którzy wbrew hasłu: „Po nas potop!” pragnęli utrzymać więzadła państwa, gdy już waliły się pierwsze belki i chwiały podwaliny.

Dwór chciał żyć, szaleć i nic nie byłoby go powstrzymało od tego. Zwyciężona Marja, zamiast stać się piorunochronem, który o lata całe opóźnił rewolucję, byłaby musiała szukać ucieczki w klasztorze, czemu zresztą rącho byłby przyklasnął królewski małżonek i jego otoczenie.

W kwietyzmie pobożnej swej duszy zbyt silnie jednak wszystkimi korzeniami wrosła w życie księżniczka polska, zbyt gorąco kochała je — mimo gorzkie zawody, aby chcieć uciec przed niem w mroki klasztorne.

O habicie i celi odludnej mogła myśleć tylko naprawdę zupełnie bierna i lękliwa królowa.

Marja zdawała sobie jasno sprawę, że nie dla czej chimery los takim dziwnym zbiegiem okoliczności powołał ją na tron wielkiego narodu. Ceniąc wysoko władzę królewską, uważając króla za przedstawiciela narodu, a widząc, jak źle spełnia Ludwik XV boskie swe posłannictwo, chce choć w części naprawić uchybienia monarchy. Więc gdy dwór jego szaleje, ona całą siłą woli stara się utrzymać dostojność korony. W tym zakątku Wersalu, który należał do niej wyłącznie i wśród tych ludzi, którzy byli oddani jej bezpodzielnie, prowadzi życie na wzór Ludwika XIV z zachowaniem całego ówczesnego regulaminu i ceremonjału, licząc, iż zjedna tem naród, przywiązany bardzo do ancien régime. Sama sobie narzuca pęta, lecz robi to świadomie w myśl hasła: „Dobry królo-

wie są niewolnikami, aby naród ich był wolny”.

W zasadach tych i w kulcie dla Ludwika XIV wychowuje Delfina, który całkowicie ulega jej wpływom i trzyma się zdaleka od szalejących kurtyzan ojca.

Powstały tym sposobem w Wersalu dwa dwory: jeden surowy, poważny, dostojny, — drugi — błyskotliwy, świetny, dyszący miłością i flirtem, żyjący kaprysem chwili, pogardą dla wszystkiego, co dawne, strupieszale, co nie da nagiąć się do radości dnia, co nie hołduje nowym prądom literatury, sztuki, nauki, co nie uznaje i nie uprawia kultu encyklopedystów, wolterjanizmu, nie śpiewa złośliwych aktualnych piosenek, nie bije pokłonów bożkom rozkoszy.

W wieku perfidji, zepsucia, intryg dworskich, Marja obrała proste drogi prawdy i zasad niezłomnych.

Z konieczności jednak wyrobiła się w niej wielka wyrozumiałość. Jakżeż można było żyć bez niej — poza murem klasztornym — w epoce, kiedy nietylko mąż własny, nietylko najbliżsi przyjaciele, najukochańszy ojciec, ale nawet syn wzorowy, nie rozstający się nigdy z matką, ulegali szalom chwili, pogrążając się w objęciach oficjalnych, półoficjalnych i nieoficjalnych kochanek.

Marja cicho, delikatnie, tam gdzie się dało, zwalczała zło czasu.

Na Ludwika ani nawet na ojca swojego, który był drugą jej duszą, pod względem erotycznym nie miała wpływu. Delfin zachwiał się, ale trwało to krótko: wrócił zaraz pod skrzydła Peppy, księżniczki saskiej i matki, którą ubóstwiał.

Gromadzą się dokoła królowej ci tylko, co chcą i mogą iść z nią razem wbrew fali bieżącej.

A Wyleżyńska ubolewa nad Marją Leszczyńską, że — zasklepiiona w ciasnym kole samonakazów — szła obok życia, a nie przez życie.

Ale — czyż „obok życia” przechodzi nieszczęście, które nie ugina się pod własnym brzemieniem i nie zwala wytkniętych drogowskazów, aby pędzić na manowce?...

Marja przetrwała wszystkie uderzenia losu i nie zachwiała się nigdy, nie wpadła w omdlenia wahań i rozterek. I może to nazywa „męskim charakterem”, pisząc o niej w „Pamiętnikach” swoich prezydent Henault, jeden z najbliższych jej przyjaciół, jakkolwiek ciężący usposobieniem ku modernizmowi chwili. Może to przyciągało do niej ludzi nawet

z obozu przeciwnego, którzy oddawali hołd jej zasługom.

Przetrwała wszystko. Ludwik, którego kocha namiętnie, odręca ją od siebie i wprowadza na dwór — jedną po drugiej — oficjalne kochanki, aż przyszła kolej na sprytną mieszczkę, otrzymującą tytuł „markizy” i chwytającą w swoje ręce ster polityki, nauki, sztuki, aby trzymać go przez całe lat dwadzieścia i pędzić w otchłań skarb państwa.

Marja nie ma sposobu powstrzymania galopady nieustannych uczt, zabaw, pikników, które pochłaniały coraz większe sumy pieniędzy. Sama na siebie nie wydaje nic prawie, ale — dobroczynna nad wyraz — nie przestaje rozdawać wszystkiego, co ma, między potrzebujących. Nikomu nie odmawia, niczyjej prośby nie odręca. To też nawet wówczas, gdy rozrzutność króla i markizy wywołuje pierwsze głuche pomruki rewolucji, gdy zarówno Ludwik, jak i pani de Pompadour kryć się muszą przed zemstą zbuntowanego tłumu, — gdy powstaje pierwszy zamach na Ludwika, — każde ukazanie się Marji wywołuje radość i hołdy uwielbienia bez granic, bo ona jedna — z Delfinem i garstką wiernych przy boku — czci dawne pamiątki i modli się wraz z ludem.

Ale pada cios najstraszniejszy. Umiera królewski jedynak, któremu życiem całem swoim i przykładem torowała drogę zbożnego panowania. Umiera po krótkiej chorobie Delfin ukochany — ginie cel jej samoofiarnych wysiłków, pogrąża się w nicość jedyna racja bytu. Wkrótce potem śmierć ojca, z którym do chwili ostatniej łączył ją najserdeczniejszy, najczulszy, najbliższy stosunek.

Grom po gromie. Przeżyć starca 89 letniego i syna — skarb nadziei.

Nieszczęście podważa równowagę umysłu i hart woli królowej. Wpada w dewocję, która rośnie w miarę, jak z każdym rokiem traci najbardziej sobie oddanych przyjaciół. Gaśnie sama wreszcie po długiej, ciężkiej chorobie, którą — tak jak syn jej — znosi cicho, bez skargi. Zasypia, błogosławiąc drżącymi rękami córki swoje i tuląc do piersi różaniec. Przed śmiercią prosi, by pochowano ją skromnie. Ludwik zarządził wszakże jak największą pompę.

Lud, który czcił ją, jak świętą, pragnął dla niej kanonizacji. Chciało tego i duchowieństwo.

Nie została świętą. Złota róża papieska i historyczne noty w pamiętnikach współczesnych, pełne uwielbienia i czci, utrwalają pamięć jej wielkiego, szlachetnego serca.

Była „dobrym duchem swej przybranej ojczyzny, aniołem opiekuńczym nieszczęśliwych, symbolem miłosierdzia” — pisze A. Wyleżyńska.

Czy człowiek lękliwy i bierny zdobył sobie kiedykolwiek pamięć, która przetrwała pokolenia?



KULT MARJI I KULT WIELKOŚCI

Z powodu książki *Zofii Kossak-Szczuckiej*—
„*Beatum Scelus*”.

(Str. 138. Kraków 1924. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej).

„...żądza wielkości... to przyrodzone prawo i tęsknota duszy! Bóg jest wielkością samą i kto kocha Boga—kocha wielkość... Bóg nienawidzi małości! Brzydzi się nią! Chrystus Pan umiłował zapoznaną wielkość małych i nędznych i wyniósł ją z sobą na szczyty. Wielkość małych, której nikt przedtem nie znał, nie rozumiał... Małość, a mały, to dwie rzeczy różne.”

Ostatnia opowieść *Szczuckiej* o „*Błogosławionej zbrodni*” wojewody brzeskiego, *Mikołaja Sapięhy*, który cudowny wizerunek *Madonny Gregorjańskiej*, „zwanej też *di Guadalupe*” z kaplicy *Watykańskiej* podstępnie wykradł i do rodzinnego *Kodnia* uwiózł, — opowieść ta nie ma w sobie ani krzty tendencji. Chwała Bogu! Wprawdzie tam, na końcu książki, autorka jak gdyby przemycza myśl, nie! — raczej ciekawie pragnienia, aby jej umiłowana *Madonna* wróciła „do swej dawnej siedziby, do *Kodnia*, gdzie na pograniczu władania szatana — latarnią będzie zbawczą, ku ocaleniu dusz udreżonych zatłoną”.

Ale jakże drobnym i nikłym wydaje się ten dzisiejszy spór *Krasicy* na i *Kodnia*, spór zgoła średniowieczny między księciem i biskupem, wobec tamtego gigantycznego zatargu *Wojewody z Papiestwem*, *mitry książęcej* z *tjarą*, *wiary* w cud z *wiarą* w potęgę, *miłości* z *prawem*, *butnego* i *zdrowego Sarmaty* z *pyszny*, ale przegniłym *Rzymem*.

Zaiste! nie na miarę *krawca* lecz *Fidjasza* były *wokate* *piersi*, w których było tak *gorące* i *niezlomne serce*. *Wielką* *musiała* być *dusza*, co w imię swego *ukochania* *porwała* się na czyn tak *szalony*, na *pogwałcenie* *praw* *ludzkich* w imię *boskiego* *nakazu*, na *walkę* *śmiertelną* z *Papieżem*, *Królem*, *Majestatem* *sprawiedliwości*, co nie *cofnęła* się przed *klątwą*, *trądem* *opuszczenia*, przed *torturą* *pogardy*, przed *piętnem* *hańby* *tylko* dla *Niej*, „dla *Ciebie*, o *Marjo*, *Drogo* *błądzących*, *Pocieszycielko* *smutnych* i *strapionych*; *Ty*, któraś *wzięła* w siebie *wszystek* *wdzięk* i *piękno*, a zarazem *wszystko* *Miłosierdzie* *Boże*. *Któraś* *jest* z *ziemi* i z *Nieba*, *bliska* *Bogu* i *nam* *bliska*... *Nieustającej* *Pomocy* *Dawczyni*”.

Kult *Marji* i kult *wielkości* — oto dwie *drogi*, które *mi* *płynie* *nurt* *uczuć* *Kossak-Szczuckiej* w jej *ostatniej* *książce*, *nurt* *głęboki* i *czysty*, jak *woda* *błękitna* *Bugu*, „*znajoma* *woda* *rodzona*”. *Nie* *masz* w *nim* *mętów* *ni* *skazy*, *choć* *burze* *tajemne* i *wiry* *podwodne* *mącą* *nieraz* *jego* *toń* *zwierciadlaną*.

Bo *dusza* *autorki*, to *dusza* *rogata*, *harda* *dusza* *szlachecka*, *dumna* i *buntownicza*, *nie* *ustępująca* *na* *krok* *ze* *swoich* *wewnętrznych* *nakazów*, *Wierna* *córka* *Kościoła* *nie* *umie* *patrzyć* *jednak* *przez* *szkła* *ultramontanizmu* *na* *zgniliznę* *późno-renańskiego* *Rzymu*.

Oto *jaki* *perspektywiczny* *skrót* *Romy* *wkłada* w *usta* *monsignore* *Cesarini*.

— *Po* *dawnemu*, *po* *dawnemu*. *Patrzmy* *życzliwie* *na* *Gustawa* *Adolfa* i *wielkie* *sobie* z *popierania* *protestantów* *obiecujemy* *dla* *wiary* *świętej* *profity*... *Byle* *Cesarzowi* *dokuczyc*... *Cóż* *dalej*? *Nasz* *prześwietny* *Galilei* *pisze* *nowe* *djalogi* *del* *flusso e reflusso*, — *co* *sprowdzi* *niewątpliwie* *nowe* *reflusso* i *uwagi* *Sant* *Uffizio* w *jego* *kierunku*. *Upar* *ty* *to* *stary* i *przepowiadam* *mu*, *że* *złe* *skończy*. *Boski* *Bernini* *rzeźbi* *dwudziestą* *fontannę*; — *chleba* w *Rzymie* *nie* *niebawem* *zabraknie*, *ale* *wody* *będzie* *podostatkiem*. *Miodu* *zapewne* *również*, *bo* *na* *każdej* *budowli* *roi* *się* *od* *pszczoł*. *Cóż*, *kiedy* *pospółstwo*, z *uporem* *ciemnemu* *tłumowi* *właściwym*, *nie* *chce* *się* *tem* *zadowolnić* i *woła* *coraz* *głośnie*, *że* *wołałoby* *mniej* *rzeźb*, *ale* *za* *to* *mniej* *podatków*.

...*O* *jaką* *wiarę* *macie* *wy*, *Sarmaci*!

Zapewne. *Cuda* *dzieją* *się* *u* *nas*, *owszem*, *niewątpliwie*... *ale* *raczej* *między* *pospółstwem*... *Coraz* *słyszemy*, *że* *ktos* *z* *owych* *dalekich* *pielgrzymów* *cudownie* *uzdrowiony* *został*. *Zawsze* *z* *między* *prostaczków*, *Rzymu*, *ani* *żadnych* *spraw* *jego* *nie* *znających*.

Do *Rzymu* *jedzie* *się* *z* *poselstwem*, z *obedjencją* *do* *Ojca* *Świętego*, *dla* *zbudowania* *ducha* *pięknością* *wiecznego* *Miasta* i *potęgą* *Kościoła* — *po* *cuda* *sztuki* i *wiedzy*, *ale* *nie* *po* *cuda* *mistyczne*! *Na* *wszystkie* *bogi* *Grecji*! *Cud* *na* *Watykanie*? *Nie* *umiem* *sobie* *tego* *wyobrazić*!

I *w* *sercu* *Wojewody*, *w* *sercu* *dziecka*, *które* *już* *się* *przeradza* w *człowieka* *nowoczesnego*, *zaczyna* *kielkować* *ziarno* *zwątpienia*. „*Nie* *zejdzie* *Boży* *Duch* *w* *splamiony* *dom*”...

Tu *zaczyna* *się* *walka* *w* *duszy* *Sapięhy*, *walka* *między* *wiarą*, *a* *zwątpieniem*, *rychło* *przecięta* *mieczem* *ognistego* *cudu*.

Ten *moment* *zwarty* *w* *rozwoju* *zarówno* *psychiki* *bohatera* *jak* *fabuły* *opowieści* *wzbiera* *pod* *piórem* *Szczuc-*

kiej *barwami*, *godnemi* *pierwszorzędnego* *stylisty*, *podnosi* *się* *do* *szczytu* *natchnienia* *poetyckiego*, *w* *którym* *nie* *wiadomo*, *co* *przeważa*: *potęga* *artyzmu* *czy* *majestat* *wiary*.

„*O* *tak*, *to* *była* *Ona*, *Matka* *Boża*, *Ucieczka* *grzesznych* i *Zdrój* *miłosierdzia*. *Taka* *właśnie* *była*, *a* *nie* *inna*, *Ta*, *którą* *Bóg* *sobie* *umiłował*, *iż* *była* *czystością* *samą* i *dobrocią*. *Ta*, *która* *była* *gołębem* i *ziemi* *najpiękniejszym* *kwiatem*. *Ta*, *której* *po* *nad* *wszystko* *nienawidzi* i *lęka* *się* *szatan*. *Jej* *to* *było* *spojrzenie*, *Jej* *rysy*... *Twarz* *koloru* *pszenicy* *jasnej* *podobnego*. *Wargi* *słów* *słodkości* *pełne*, *przymknięte* *pieczęcią* *najwyższych* *Bożych* *tajemnic*. *Powieki* *ciężkie* *od* *patrzenia* *w* *Bożą* *światłość*. *Oczy* *ciemne*, *oliwkowe*, *ogarniające* *każdego* i *w* *wszystkich*. *Oczy* *te* *same*, *które* *się* *podniosły* *z* *ufnem* *zadziwieniem* *na* *Gabryela* *Archanioła*, *gdy* *napełniając* *światłem* *ubogie* *mieszkancko*, *rzekł* *do* *rozmodlonego* *dzieńczęcia*: *Bądź* *pozdrawiona*, *Marjo!* — *Te* *same* *oczy*, *które* *się* *śmiały* *do* *Boskiej* *dzieciny*, *oczy*, *które* *plakały* *pod* *krzyżem*. *Oczy* *ludzkie*, *czy* *kobiece*, *czy* *matczyne*, *a* *zarazem* *oczy* *boskie*. *Czemże* *było* *wszystko* *poza* *bezpieczną*, *słodką* *ich* *przystanią*?

Ach, *lękem*, *niepokojem*, *rozłąką*, *zgrzyotą* i *nędzą*...

Odtąd *jedyne*, *jak* *miłość* *mocne*, *jak* *śmierć* *nieubłagane* *pragnienie* *ogarnia* *uzdrowione* *ciało* i *oskrzydłony* *nieziemską* *wizją* *duch* *Sapięhy*: *za* *wszelką* *cenę* *zdość* *cudowny* *wizerunek* *Madonny* i *godny* *jej* *w* *rodzinnym* *Kodniu* *uczynić* *przybytek*. *Z* *przedziwną* *znajomością* *duszy* *polskiej* *XVII* *wieku*, *duszy* *polskiego* „*królewicy*”, *dumnego* *wobec* *potęg* *ludzkich*, *łamiącego* *bez* *skrupułu* *prawa* *ziemskie*, *a* *korzącego* *się* *jedynie* *przed* *Bogiem* i *po* *swojemu* *pojętym* *nakazem* *wewnętrznym*, *kreśli* *autorka* *dalsze* *dzieje* *obrazu* i *jego* *peregrynacje*, *które* *tak* *się* *zrastają* *ze* *spisową* *postacią* *wojewody*, *że* *wreszcie* *jednego* *od* *drugiego* *rozłączyć* *niepodobna*. *Co* *więcej* i *co* *ciekawsze*, *ta* *postać* *zaczyna* *przerastać* *ramy*, *zrazu* *przez* *autorkę* *zakreślone* *zasłania* *sobą* *Rzym*, *Polskę* *baroku*, *sam* *obraz* *cudowny* *wreszcie* *ginie* *nam* *z* *przed* *oczu* *nawet* „*Beatum* *scelus*” *owo* „*Zbożne* *przestępstwo*” *w* *tytule* *zawarte*, *a* *dźwiga* *się* *ku* *nam* *olbrzymie* *widmo*, *a* *karabelą* *u* *pasa*, *ze* *straszłą* *bronią* „*Liberum* *veto*” *na* *ustach*, *tem* „*Veto*”, *które* *jak* *na* *ironję*, *zdejmuje* *z* *niego* *klątwę* *kościelną* i *do* *papieskiej* *łaski* *przywraca*.

Zdawałoby *się*, *że* i *tu* *zwycięża* *siła* *przed* *prawem*, *ale* *nie* *taka* *jest* *intecja* *autorki*. *Nie* *siła* *miecza*, *nie* *ramienia*, *nie* *potęga* *roczumu*, *wymowy*, *mamony* *wreszcie*, *ale* *nieśmiertelna* *moc* *ducha*, *wiara* i *miłość* *dokonywa* *cudu* *przemiany* *w* *umysłach*

ludzkich porywa wielkich tego świata i tłumy maluczkich.

„Bo cud w samej swej istocie znaczy zerwanie się ducha z pęt ciała. Zerwanie tak górne, doskonałe, całkowite, że dusza Boga dosięga i z nim przez moment obcuje. A przez to zyskuje na mgnienie moc Boską, której jako chce, może użyć i rozkazywać materji, jak pan rozkazuje słudze. To jest cud, a nie to, w czem się owa moc przejawia...”

Tę rozgrzeszającą moc cudu posiadł Sapieha, wykradając obraz Madonny z oratorjum watykańskiego. Rozgrzeszającą przez wielkość ukochania, gdyż czyn sam, używający za narzędzie wstrętnego płaza Barnabe, a potem to narzędzie bez skrupułów niszczący, — posługiwanie się prostem przekupstwem, podstępem, kłamstwem choćby wobec ludzi podłych, to wszystko środki, których nawet najświętszy cel nie uświęca i uświęcić nie może. To też nie ostaną się one nietylko wobec subtelnej, a zawilej etyki człowieka dzisiejszego.

Moralność XVII wieku widziała w tym czynie przedewszystkiem „świętokradztwo, symonję, obrazę majestatu papieskiego”, — etyka dzisiejsza widzi przedewszystkiem krzywdę maluczkich, krzywdę Baptysty, podstępnie skuszonego widokiem pełnego trzosa, a potem niemilosiernie wyprowadzonego w pole, a raczej na szafot.

W tej pogardzie dla człowieka „podłej kondycji” i podlejszego stokroć sumienia przemówił Sapieha, wierny syn swego wieku i stanu, nieodrodne dziecko Polski magnackiej. I rzecz dziwna, taka jest władza talentu, że to, co w innym człowieku byłoby plamą, tu jest tylko cieniem, i to cieniem, który gigantyczność postaci jeszcze podnosi.

To samo będzie z wystąpieniem Sapięhy na sejmie: „Liberum Veto” straszna broń w ręku warcholów, tu staje się palcem Bożym, nabiera cech opatrnościowych. Ten z pod prawa wyjęty, ognia i wody pozbawiony, wykłęty a jednak duchem nie złaman wielmoża, sam, z własnej woli, naprzekór Majestatu, wbrew podszeptom polityki rzuca ciężar swego „nie pozwalałam!” na szalę dziejów, i do małżeństwa króla z dysydentką nie dopuszcza.

Ale jak wielki był w swojej zbrodni, jak wielkim i nieugiętym musiał być w nieszczęściu, tak wielkim, wspinał się bezinteresownym umie być w swym triumfie i zwycięstwie. Nie prywatna bowiem nim kieruje, ta hydra dusz małych i niskich, ale „żądza wielkości, to przyrodzone prawo i tęsknota duszy”.

W imię tej świętej żądzy poetka nietylko rozgrzesza swego bohatera, ale stawia go na piedestale heroizmu.

I uczuciowo ma słuszość. Sława Sapięhy nie jest sławą herostratową. Albowiem nad czynem jego, nad wzniosłym szaleństwem jego „zbrodni” unosi się złota aureola świętości: czystość intencji.

„Wszystko z woli Bożej pochodzi i ku Bożym celom dąży. Jedna jest tylko człowiecza cnota: Dobra Wola. Jedna jest tylko człowiecza wina: Zła Wola. A któż jest, kto mógłby się chęłpić, że przejrzał Boskie wyroki?”

Wojewoda jest zaiste jednym z tych „gwałtowników”, którzy zdobywają królestwo niebieskie. Czystość jego intencji, płomień jego miłości — to dwa miecze, co przebijają nietylko mury przesądów i zatwardziałości, ale i niebios same.

Zbrojna w te dwa miecze autorka wychodzi zwycięsko z zapasów z tematem, który pod ręką nieudolną mógłby stać się parodią lub legendą jarmarczną. Na szczęście nic z tego. Ani śladu jadowitego sceptycyzmu Anatóla France'a — ani krzty dewocjalnej literatury.

Tę małą, a tak bogatą w skarby uczucia i artyzmu książeczkę zamyka czytelnik z pokornym niemal westchnieniem, podobnie jak niegdyś prapradziad zamykać musiał „Historję przeznaczonego Obrazu Kodeńskiego Przenajdostojniejszej Panny Marii, Grzegorzowi Wielkiemu ulubionego, de Guadelupe nazwanego” słowami: — Tać jest wiara ojców naszych i nasza! Aureola „Pożogi” pozostała werną sobie. Nie zesza z placówki. Jej nowa książka jest jeszcze jednym „kamieniem rzuconym na szaniec” tam, „na pograniczu władania szatana...”

Stefanja Podhorska — Okolów



ZASŁONY PRECZ!

Znaną jest dobrze każdemu wielka rola, jaką odgrywa w obyczajach kobiet muzułmańskich zasłona, ukrywająca rysy ich twarzy przed oczami mężczyzn. Religja Mahomeńska wprost zabrania, jak wiadomo, kobiecie dorosłej ukazywać się poza domem bez zasłony, szczerze osłaniającej twarz. A jednak nowoczesne Turczynki wylamują się już dziś z pod tego przepisu, jak o tem donosi dlu-goletni mieszkanić Konstantynopola,

korespondent londyńskiego „Evening Post”, w swym artykule o „Kobiecie nowoczesnej w Turcji”.

„Dotychczasowy obyczaj zasłaniania twarzy upadł już w Turcji prawie zupełnie. Zachowuje się jeszcze dotąd w niektórych wioskach na prowincji, w stolicy jednak kobieta zawalowana jest już unikatem. Początek upadku tego zwyczaju datuje się od czasu rewolucji młodotureckiej, t. j. od r. 1908. Założone zostały wtedy pierwsze szkoły dla dziewcząt, a zasłony Turczynek stały się bardziej przejrzyste. Reformy te jednakże spotykały się z silną niechęcią przeważnej części społeczeństwa tureckiego, przywiązanego do starych tradycji i obyczajów. I tak np. próba wprowadzenia kobiet podczas wojny bałkańskiej do szpitali w charakterze sanitariuszek, wywołała ogromne wzburzenie opinii publicznej i omal że nie stała się powodem upadku rządu.

W czasie wojny światowej zasłony zaczęły znikać. Założona została pierwsza szkoła koedukacyjna, w której młodzi chłopcy i dziewczęta muzułmańskie spotykali się swobodnie, tak jak i w całej Europie. Na uniwersytecie w Konstantynopolu otwarto Kolegium Nauk Wyzwolonych, do którego dopuszczano również i kobiety w charakterze słuchaczek.

Od czasu zwycięstwa greckiego obyczaj zasłaniania twarzy — można powiedzieć — zanikł prawie zupełnie. Kobiety tureckie wychodzą już na ulicę po zachodzie słońca; widywać je można w kawiarniach, w teatrach, w salach balowych, gdzie tańczą nietylko z obcymi mężczyznami wyznania muzułmańskiego, ale i z „niewiernymi”, co dawniej byłoby uważane za zbrodnię nie do darowania. Po ulicach Stambułu maszerują dziarskie oddziały skautów i skautek tureckich. Uniwersytet przyjmuje kobiety bez żadnych ograniczeń na wszystkie wydziały, przygotowując w ten sposób zastęp przyszłych lekarek, adwokaterek i nauczycielek tureckich”.

MY PRACUJEMY — A MĘŻCZYZNA ZBIERA ZASZCZYTY!

Działaczka amerykańska na polu równouprawnienia, pani Ida Clarke, skarży się w artykule pod powyższym tytułem, drukowanym w „Pictorial Review”, na niesprawiedliwość, jaka wciąż jeszcze panuje w stosunku do kobiet, pracujących we wszystkich zawodach i na każdym polu.

„Pierwszą pracą, na jaką opinja publiczna zezwoliła kobiecie, poza zajęciem we własnym domu — była filantropja. Praca nad ocieraniem łez sierot i nędzarzy, pielęgowaniem chorych i słabych, żywieniem głodnych, przyodziewaniem nagich i przy-

garnianiem bezdomnych... A jednak — te miliony dolarów, jakie Ameryka wydaje rocznie na tę działalność — przechodzą przez ręce mężczyzn. W samym nowym Yorku istnieje około 2400 stowarzyszeń filantropijnych, wydających rocznie przeszło 50 milionów dolarów. Na czele wszystkich tych stowarzyszeń stoją mężczyźni — chociaż pracują w nich bodaj wyłącznie same kobiety!

„Zawód pedagogiczny uważany jest powszechnie za najodpowiedniejszy dla kobiet. Ale fundusze na cele oświatowe spoczywają także w rękach mężczyzn, którzy zachowują dla siebie najlepiej płatne stanowiska kierownicze i dysponują sumami na oświatę, według swego uznania.

„Mężczyzna trzyma w swem ręku cały przemysł i handel naszego kraju. On to jest pracodawcą dziesiątków tysięcy kobiet, on wyznacza im płace (niższe od płac, jakie pobierają robotnicy mężczyźni), on stoi na czele wszystkich fabryk i warsztatów.

„Mężczyzna uchwała prawa, kieruje polityką, układa budżet państwa i dysponuje funduszami publicznymi. Kobietom pozostaje tylko — płacić bez szemrania podatki. Wpływu bezpośredniego na opinię publiczną mieć nie możemy, gdyż prasa — ten najsilniejszy motor w życiu społecznym — jest prawie wyłącznie w rękach mężczyzn. Prawda, mamy wiele zdolnych dziennikarek: ale czy podpisy znaleźć można pod artykułem wstępym któregośkolwiek z poczytniejszych pism amerykańskich? Powierzają im jedynie działy drugorzędne. I tak — gdziekolwiek tylko rzucimy okiem, na jakąkolwiek dziedzinę życia — wszędzie widzimy to samo: my pracujemy, a mężczyzna zbiera zaszczyty“.

MUZYCZKI I KOMPOZYTORKI ANGIELSKIE.

W jednym z poprzednich numerów „Bluszczu“ pomieściliśmy wzmiankę o symfonicznej orkiestrze w Ameryce, składającej się wyłącznie z sił kobiecych. Obecnie dowiadujemy się z korespondencji, umieszczonej w jednym z pism londyńskich, że podobna orkiestra symfoniczna istnieje i w Anglii. Artykuł, podpisany przez panią Henryetę Strauss, daje dużo ciekawych szczegółów w świecie muzycznym, kobiecym w Anglii i wymienia nazwisko kompozytorki angielskiej, Ethel Smyth, bardzo mało lub bodaj że wcale nie znanej u nas.

„Kobiety angielskie toczyć muszą zaciętą walkę o uznanie na wszystkich polach pracy. Tym razem chodzi tu o pole twórczości muzycznej. W tej dziedzinie zasłużyły już one sobie oddawna na uznanie swych zdolności, zarówno jako wirtuozki na poszczególnych instrumentach, jak i kompozytorki oraz członkinie zespołów orkiestrowych. Dowodem tego uznania

jest fakt, że najwybitniejszy dyrygent orkiestr symfonicznych w Anglii, Sir Henry Woods, przyjął do swego zespołu symfonicznego w Queen's Hall w Londynie w czasie wojny cały szereg sił muzycznych kobiecych. Od tego czasu pozostały kobiety w jego orkiestrze na stałe, pomimo silnego niezadowolenia mężczyzn, którzy po ukończeniu wojny pragnęli usunąć ponownie kobiety z zajmowanych przez nie stanowisk. Sir Henry Woods oparł się tym usiłowaniom, twierdząc, że dopuszczenie kobiet do zespołów orkiestrowych wpłynęło niezmiernie korzystnie na całość orkiestry, a to z wielu powodów: popierwsze, iż są one naogół bardzo sumiennymi i starannymi wykonawczyniami, jako solistki na instrumentach smyczkowych posiadają ton czystszy i subtelniejszy niż wirtuozji — mężczyźni, a co najważniejsze, iż mężczyźni, grający razem z kobietami, wyczuwając w nich niebezpieczne współzawodniczki, podnieśli znacznie poziom staranności swego wykonania.

Opinia ta jednak tak ogólnie cenionego dyrygenta nie wpłynęła bynajmniej na dopuszczenie kobiet do innych zespołów muzycznych — przeciwnie, wobec odmowy usunięcia ich z orkiestry symfonicznej w Queen's Hall stowarzyszenia muzyków postanowiły nie przyjmować kobiet na członków. Doprowadziło to w końcu do tego, że muzyczki i kompozytorki angielskie założyły własne swoje stowarzyszenie, a pozatem utworzyły orkiestrę symfoniczną pod batutą Miss Gwynne Kimpton.

Orkiestra ta składa się z przeszło sześćdziesięciu członkiń, zrzeszonych w kooperatywę, ma za zadanie dawanie stałych koncertów symfonicznych w Londynie i na prowincji celem szerzenia zamiłowania do muzyki poważnej. Program koncertów obejmuje zarówno repertuar klasyczny, jak i utwory nowoczesnych kompozytorów. Inowacją tu jest wprowadzenie zasady współdzielczości, dzięki czemu artystki-solistki mogą dawać koncerty, nie ryzykując własnych kapitałów na wynajmowanie sali koncertowej, orkiestry i t. d.

Skompletowanie orkiestry wymagało niemałych trudności, zwłaszcza w dziedzinie instrumentów dętych, które dotychczas były prawie wyłącznym przywilejem mężczyzn, udało się jednak przezwyciężyć wszystko, a pierwszy koncert kobiecej orkiestry, który się odbył dn. 3 kwietnia r. b. w Londynie pod protektorem samej królowej i popierany przez Ligę Patriotek Angielskich (British Women's Patriotic League) wywołał olbrzymią sensację. Zgromadzeni na sali muzycy ujrzeni, ku swemu zdumieniu, a poczęści i rozczerowaniu, cały zespół obsadzony wyłącznie przez kobiety, nie pomijając nawet takich „ściśle męskich“ instrumentów, jak waltornie i trąbony.

Krytyka prasy okazała się nader przychylną. Fachowi muzycy i dyrygenci zmuszeni byli przyznać „bez wszelkiej obowiązującej dla dam galanterji“, że zespół był znakomicie zgrany, poszczególne instrumenty funkcjonowały bez zarzutu, a solistki były niezwykle uzdolnione. Program obejmował wyjątki z opery kompozytorki angielskiej, pani Etbel Smyth, która sama dyrygowała wykonaniem tego dzieła.

Pani Smyth zabrała głos przed rozpoczęciem koncertu i przedstawiła w krótkim, ale silnym przemówieniu trudności, z jakimi walczyć muszą muzyczki angielskie. Zazdrość kolegów — mężczyzn stwarza warunki poprostu nieznośne. Ogólnie daje się słyszeć pogardliwe zdanie, że kobiety mogą być dobrymi odtwórczyniami, genjuszu twórczego jednak w dziedzinie muzycznej posiadać nie mogą. „Walczymy z tem uprzedzeniem — mówiła pani Smyth — i walczyć będziemy tak długo, aż dopóki społeczeństwo nasze nie uzna, że genjusz muzyczny, jako dar Boży, nie jest tylko wyłącznie przywilejem mężczyzn“.

Przemówienie to wywołało wielkie poruszenie wśród świata muzycznego. Pani Smyth kilkakrotnie potem zabierała głos na łamach dzienników, broniąc swojej tezy. Najbardziej sensacyjnym momentem w tej dyskusji był jednak list otwarty Bernarda Shaw, w którym wielki artysta i krytyk wyraża się niezmiernie pochlebnie o twórczości muzycznej pani Smyth.

„Droga Pani — pisze ze zwykłym humorem autor „landidy“ — dziękuję pani serdecznie, iż dzięki pani miałem sposobność usłyszenia czegoś, co mnie przekonało dobitnie, że t. zw. męska twórczość nie jest tylko wyłącznym przywilejem mojej płci. Zaprawdę, dzieło pani jest tak silne, tyle w niem rozmachu, energii, tyle jednym słowem „męskości“, że czuję się zupełnie przygnębnym. Jest pani bardziej mężczyzną, niż wielki Händel“.

Prawdę powiedziawszy, jak można mówić o „męskości“ lub „kobiecości“ w muzyce? Czyż można sobie wyobrazić bardziej „kobiecego“ kompozytora, jak popularny i tak bardzo lubiany Mendelssohn? A ten słodki cukierek, podany nam przez Brahmsa, czyż można nazwać „Requiem“ tylko dlatego, że został zawinięty w kawałek czarnej krepy?

Pani — chociaż kobieta — pogardziła sentymentalizmem i cukierkami, była pani poprostu — brutalnie męska. I jeszcze się pani śmie skarżyć, że nie doceniamy pani, ponieważ jesteś „tylko kobietą“!

Na miłość Boską!!!

Szczerze oddany „wielki, starszy brat“.

Bernard Shaw.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIEC

DLACZEGO GIMNASTYKA MA TAK DUŻE ZNACZENIE DLA ZDROWIA?

Mówiąc w poprzednim numerze o „Wychowaniu fizycznym“ wspomniałam, że w jego skład wchodzi równie dobrze gimnastyka, rytmika, gry i zabawy, spacer i t. p.

Gimnastykę jednak postawiłam na pierwszym miejscu i zrobiłam to zupełnie celowo.

Gimnastykę takiej, jaką ją uprawiamy dzisiaj, gimnastykę systemu Linga, szwedzkiej, nazywanej też racjonalną lub fizjologiczną, należy się w zupełności to pierwsze miejsce. Ona jedna bowiem, od pierwszego do ostatniego ruchu, który wykonuje ćwiczący, ma określone zupełnie i jasne dla oka nauczyciela zadanie, nie ma w niej wyęczenia i przemęczenia, występującego często przy rytmice, wysuwającej na plan pierwszy piękno, nie ma tej przypadkowości często ryzykownej jak przy sporcie lub grach, gdzie równie ważnym jak zdrowie celem jest rozrywka i zwycięstwo w walce z przeciwnikiem. Przy gimnastyce tym przeciwnikiem jest nasza własna słabość i niecierpliwość, nasz brak wytrzymałości i odwagi.

Jej jedynym celem jest zdrowie. Do celu tego zmierzamy pod okiem nauczyciela — specjalisty, który każdy nieodpowiedni ruch zauważa, każdą fałszywą postawę koryguje. Charakter więc gimnastyki jest wybitnie leczniczy.

Mówię o gimnastyce szwedzkiej, gdyż dawniejsze systemy jak gimnastyka niemiecka, jak zbliżona do niej nasza sokola — mają charakter raczej sportowy, stosują ćwiczenia trudne i wyczerpujące, mają na widoku nie harmonijny rozwój całego organizmu, a tylko siłę pewnych grup mięśniowych, potrzebnych do wykonywania efektownego dźwignia ciężarów i nieraz wprost akrobatycznych ćwiczeń na przyrządach. Systemy te są w wielu ćwiczeniach wręcz niebezpieczne i szkodliwe.

W przeciwieństwie do systemu niemieckiego gimnastyka szwedzka dąży do zdobycia siły i zręczności przez osiągnięcie jak najwyższego rozwoju całego organizmu, stosując ćwiczenia do jego potrzeb, a nie tak jak tamta, nałamując i dociągając siły nasze do jak najtrudniejszych ćwiczeń.

Żeby dobrze zrozumieć zdrowotną wartość ćwiczeń gimnastycznych, musimy przypomnieć sobie w najogólniejszych choćby rysach pewne podstawowe rzeczy z dziedziny fizjologii.

Gdy wykonujemy jakikolwiek ruch, a gimnastyka jest właśnie szeregiem takich celowo dobranych i odpowiednią liczbą razy powtórzonych ruchów, pracę tę skutecznie my pewną grupą mięśni. Niejedna

z czytelniczek myśląc, że tak powiem, w codziennym, a nie naukowym znaczeniu wyrazu mięsień, pomyśli może „po co kobiecie mięśnie, gdy mężczyzna jest muskularny, to jest piękne i właściwe, kobietę mięśnie silnie zarysowane raczej szpecą”. Myśląc tak, zapominamy, że nie chodzi tu o jakieś specjalnie grube bicepsy, czy rozłożyste barki, zapominamy, że całe nasze ciało składa się z warstw mięśni, pokrywających szkielet i organy wewnętrzne. Prócz mięśni mamy pod skórą tylko niewielką warstwę tłuszczu, nie odgrywającego ważniejszej roli fizjologicznej.

Mięśnie więc to nasze ciało, w komórkach mięśniowych odbywa się cała praca assymilacyjna, wchłanianie odżywczych składników pokarmu, a wyrzucanie trujących (jak kwas węglowy, mlekowy, moczowy i t. p.).

W mięśniu odbywa się stale proces spalania, zużywa on tlen, przynoszony przez krew, dla komórek mięśniowych więc pracuje serce i płuca, narządy trawienne i wydzielnicze, wogóle wszystkie nasze organy.

Mięsień jest tem różny od innych, powiedzmy, maszyn, wykonywujących jakąś pracę, że gdy te niszczą się, ścierają, zużywają przy niej, mięsień przeciwnie wyrabia się, rozwija, grubieje, robi się bardziej elastycznym. Dzieje się to dlatego, powiedziawszy to bardzo ogólnikowo i popularnie, że im więcej pracuje, im więcej zużywa pożywienia, im więcej wydziela z siebie materij trujących, tem więcej tego pożywienia organizm mu dostarcza. Wytworzone w nim składniki, trujące krew wypłukuje niejako i unosi. Gdy dojdą one do pewnych ośrodków nerwowych, zarządzających czynnościami serca i płuc, ośrodki te jakby zaalarmowane daną ilością truczyn, przyspieszają natychmiast pracę tych organów, każą sercu wysyłać większe ilości świeżej krwi do mięśnia, płucom intensywniej tę krew utleniać, a więc silniej oddychać.

Krew krążąc żywiej, pobudza również działalność narządów trawienia, muszą się one również „spieszyć”, żeby nastarczyć mięśniowi składników, potrzebnych do odbudowy zużytych jego tkanek.

W ten sposób praca ruch ożywia i pobudza działalność wszystkich podstawowych organów serca, płuc, narządów trawienia i wydzielania.

Rozumiejąc znaczenie ruchu dla komórki mięśniowej, tej podstawowej cząsteczki, z których zbiorowisk składa się nasze ciało, łatwo możemy zrozumieć, jak szkodliwym może być wpływ źle stosowanej gimnastyki. Jak łatwo spowodować przez przemęczenie mięśni — przemęczenie (co równoznaczne jest z zatruciem) całego organizmu. Gdy się nagromadzi za dużą ilość substancji szkodliwych w mięśniach, krew nie zdąży ich wprost usuwać. Płuca i serce zbyt szybko muszą działać, stąd przyspieszony oddech, bicie serca gwałtowne i t. p.

Mówiąc o znaczeniu pracy mięśniowej dla organizmu, trudno pominąć mózg. Jak dzisiejszy stan fizjologii uczy, pewne specjalne ośrodki mózgowe zarządzają pewnymi określonymi ruchami, a więc kombinacjami skurczów i rozkurczów mięśni. Stąd każdy ruch działa pobudzająco na pewne części mózgu, rozwija go i doskonali, pomijając już, że przy żywszym krążeniu krwi w całym ciele mózg również jest silniej odżywiany.

Dzieci lub ludzie niewycwiczeni zupełnie, z trudem wykonują po raz pierwszy łatwe ale choć trochę bardziej złożone ćwiczenia.

Proszę kazać dziecku wykonywać jakieś ćwiczenia niesymetryczne, inny a równoczesny ruch jedną i drugą ręką lub nogą i ręką, lub samemu wykonać np. ruch poklepywania się po głowie z równoczesnym nacieraniem drugą ręką klatki piersiowej. Napewno te dwa ruchy będą się mylić, zanim mózg przyzwyczai się do wydawania tych sprzecznych nakazów równocześnie.

Dodatnia działalność ruchu na skórę jest oczywista, Temperatura ciała przy ruchu podnosi się, gruczoły skórne przy silniejszym napływie krwi działają żywiej, wydzielają pot, ażeby parując ochładzał skórę. A wiadomo, że to wydzielanie znacznie dopomaga nerkom w ich czynnościach, pot zawiera w sobie teżsame szkodliwe dla organizmu składniki; sama zaś skóra oczyszcza się, robi się bardziej elastyczną i jędrną.

WIADOMOŚCI SPORTOWE.

Mistrzostwo Polski w pływaniu na rok 1924 zdobyła p. Olga Schreiberówna z klubu krakowskiego „Jutrzenka”, pobijając poprzednie rekordy kobiece.

W skokach z trampoliny tytuł Mistrza uzyskała Eugenia Frydmanówna z „Makkabi” warszawskiej.

W zawodach lekkoatletycznych Mistrzostwa Polski tegorocznego panie brały liczny udział. Pierwszeństwo przyznano warszawskiemu klubowi „Polonia”.

„ŚWIĘTO WISŁY”

W skład programu „Święta Wisły”, które obejmowało nietylko zawody sportowe, ale wogóle całe życie wiślane: biegi przewoźników, piaskarzy, wojsk saperskich, policji wodnej, gry i zabawy na wodzie, wchodził również w części czysto sportowej bieg jedynek klepkowych (skullingów) dla pań. Zwyciężyła J. Grabicka z klubu Wioślarek Warszawskich, pobijając znakomitą wioślarkę Akademickiego Związku Sportowego p. W. Czarnecką.

29 b. m. odbędą się wewnętrzne regaty Klubu Wioślarek.

Sensacją dnia w świecie sportowym Warszawy były Międzynarodowe Zawody Akademickich Związków Sportowych. Szczegółowe wyniki podamy w nast. numerze.

Garść wrażeń z międzynarodowego zjazdu nauczycielstwa w Warszawie.

Nie będę tu podawała szczegółowego sprawozdania z międzynarodowego zjazdu nauczycielstwa w Warszawie — uczyniły to w części pisma codzienne poświęcają mu sporo uwagi pisma fachowe pedagogiczne, oraz specjalne — z racji zjazdu podjęte wydawnictwa. Zasadniczym tematem obrad była kwestja zunifikowania szkoły — a więc, szkoły powszechnej, średniej i wyższej — tak aby stanowiły one ciąg nauczania. Ale prócz obrad fachowych zjazd odbywający się w murach naszej stolicy miał jeszcze jeden ważny moment — była nim propaganda polska wśród przedstawicieli narodów, biorących udział w zjeździe.

Polska wyzwolona stanęła odrazu na gruncie nader niebezpiecznym i niejako ze wszystkich stron podminowanym.

Państwa rozbiornicze nie chciały tak łatwo wypuścić łupu z drapieżnych rąk swoich, nie mogąc militarnie swych celów zaborczych osiągnąć, chciały przynajmniej podkopać nowo-powstałe państwo intrygą, ciągiem rozpowszechnianiem uwłaczających o niem wieści, aby mu uniemożliwić zdobycie sobie stanowiska wśród wolnych a zwyciężkich narodów świata.

Tę sieć oszczerstw przerywają na szczęście, częste wycieczki do Polski wysłańców różnych państw i społeczeństw, a najlepszym dowodem rosnącego do nas zaufania są zjazdy międzynarodowe na naszym gruncie urzędzane. Po niedawno odbytym Zlocie harcerskim, który odbywa się w tych dniach, a pomiędzy wielkim Zjazdem młodzieży, przyszła kolej na kongres międzynarodowy nauczycielstwa szkół średnich. 18 państw wysłało nań swoich przedstawicieli i przedstawicielki, i jakkolwiek tych ostatnich była liczba znikoma, zaniosą one jednak wieść o Polsce do rodzin swoich i do instytucyj, w których pracują.

Działalność uczestników każdego zjazdu czy kongresu musi być różnorodną, rozprawy i narady naukowe z konieczności przeplatane są zwiedzaniem miasta i kraju, w którym się odbywają, a także i przyjęciami towarzyskimi. W czasie to tych dwu ostatnich pełnych bogatej treści kongresów, dokonywało się poznanie się i zbliżenie zgromadzonych przedstawicieli różnych narodów.

Gdyby można było brać à la lettre wszystkie bankietowe przemówienia, doszlibyśmy do błędnego przeświadczenia, że Polska otoczona jest samymi przyjaciółmi, życzącymi jej najwyższego powodzenia i rozkwitu. Bliżej jednak rozpatrzwszy się w tej sprawie, widzimy, że w sferę nauki, a nawet w głąb bezinteresownych związków młodzieży sięgają nici interesów i konfliktów wzajemnych,

Na zjazdach i kongresach w Polsce Niemcy i Rosjanie świecą nieobecnością, nie mogąc się z istnieniem jej pogodzić. Za to tak bliski niegdyś nasz kontrakt duchowy z Francją zdaje się zacieśniać i utrwalać. Wchodzi coraz więcej w życie owe „cooperations des idées“, które jest chlubą cywilizacji i nadzieją lepszej przyszłości ludów.

Na kongresie nauczycielskim było kilka Francuzek, nauczycielek prowincjonalnych, bardzo skromnych z ubrania i zachowania się, świadczących dowodnie, że coraz bardziej kosmopolityzujący się Paryż, a rdzenna prowincja francuska, to są dwa odrębne światy.

Zapytywałam panie o ich warszawskie wrażenia. Już z samego stopnia zachwytu nad Polską poznać można było, że i na głuchą prowincję dobiegły echa rozmaitych niekorzystnych, o nas rozsiewanych wieści. To co podróżniczki znalazły w Warszawie, wy-

dawało im się, w porównaniu z tem, co słyszały, tak godnie zachwytu, że nie mogły go dość głośno wyrazić. Uszczęśliwione były tem, że ich oprowadza siostra pani Courie (p. Szelay Skłodowska) a widocznie objaśnienia o wszystkim, co się u nas stwarza, były wyczerpujące, gdyż podziw ich był wprost nadzwyczajny. Gimnazjum im. Bałtego, wykończone obecnie z uwzględnieniem ostatnich zdobyczy naukowych w urządzeniu wewnętrznym, nasuwało naszym gościom zapytania: Jak się to stało, że Polska, zniszczona wojną i zaledwie od kilku lat oswojona, mogła tak wielkich rzeczy dokonać?

Tych samych wrażeń doznano przy zwiedzaniu szkół tramwajowych, Inne narodowości nie wiele przysłały przedstawicieli. Widziałam parę Czeszek, jedną Rumunkę i tu nasuwa się uwaga. W krajach południowo-słowiańskich i wogóle wśród narodów bliżej wschodu zamieszkałych, tkwi jeszcze tradycyjne lekceważenie dla kobiet; złagodzona forma dawnej pogardy. Światły i sympatyczny jugosłowiański tłumacz Sienkiewicza z Orzeszkowej p. Kniatyżewicz, którego miałam za sąsiada w czasie bankietu, dziwił się mocno, że w Polsce są kobiety posłami w Sejmie, wcale o tem nie wiedział. Widząc zaś całą niemal salę w Zamku na otwarciu Kongresu kobietami zapewnioną, zapytywano: „czy tu u was wyłącznie kobiety zajmują się nauczaniem?“ I dziwiono się, gdy odpowiadałam, że nie i że tylko przez grzeczność wszystkie niemal miejsca siedzące mężczyźni odstąpili kobietom.

Niestety, nie było na Kongresie przedstawicieli Ameryki, gdzie już kobiety ogarnęły niemal całe powszechne nauczanie i sięgają po średnie i wyższe. Jedyny przedstawiciel szkolnictwa angielskiego prof. Goodhall, który samolotem na Zjazd przyjechał, oznajmił na bankiecie, że angielskie Stowarzyszenia nauczycieli szkół średnich ofiarują nam współdziałanie i współpracę w kierunku wymiany prac naukowych, doświadczeń, spostrzeżeń i książek.

A cóż za nawał przemowień! Wszystkie były gorąco oklaskiwane a zakończeniu każdego towarzyszyły hymny narodowe. I zdawać się mogło, że dla umęczonej krwawą wojną i tak niedawnym wybuchem okrucieństwa i nienawiści, ludzkości, nastaje nowa era: zgody, braterstwa i pokoju, Proklamował ją Turk i Japończyk, Hiszpan czarnooki i Belg rozważny a spokojny, i kulturalny przedstawiciel państw skandynawskich i wysłańcy narodów świeżo od jarzma Rosji wyswobodzonych jak fińskiego, łotewskiego i estońskiego.

Zgromadzili się i ci, co wolność odzyskali i rozszerzenie granic jak Czesi np. i ci co zostali pokrzywdzeni, jak Węgrzy. Więc też gdzieś zdala, ponad promiennem światłem zgodnej współpracy, gromadzą się jeszcze chmury, które rozproszyć jedynie może wychowanie młodego pokolenia w imię ideału ogólnego braterstwa ludów i tu kobieta odegrać powinna poważną rolę. Wśród wysiłków obecnie wymierzonych w kierunku pokoju i rozbiorzenia, do czego dążą, tak zjazdy Unji międzyparlamentarnej, jak Konferencja Ligi Narodów, jej głos powinien rozbrzmiewać coraz głośniej. Niestety jak dotąd, nie występujemy na arenie wszechświatowej z taką śmiałością, jakby się to kobiecie-matce i wychowawczyni należało.

I. W K.



PIECZARKI.

(Szampinjony.)

Pieczarki są to jedyne grzyby jadalne, dające się hodować, u nas, jednak są bardzo mało rozpowszechnione, — ba! po wsiach uważane nawet są za trujące, szkodliwe i wcale tam nie używane. Dzięki temu, że można je hodować sztucznie, można je mieć świeże przez rok cały.

Pod Paryżem setki ludzi oddaje się hodowli tego smakowitego grzybka. Hodowlę taką prowadzi się w całej sieci specjalnie w tym celu pobudowanych piwnic, równa temperatura, panująca w tych podziemiach pozwala mieć jednakowo dobre, twarde białe pieczarki w czasie mrozów zimowych i upałów letnich. — Obok tych zakładów, hodujących świeże pieczarki utworzyło się kilkanaście fabryk wyrabiających konserwy z pieczarek, konserwy z całych pieczarek w blaszankach i kompotjerach i sosy ostre angielskie z essencji pieczarkowej (zużytkowanie łupinek i korzonków pieczarkowych). W okolicach Petersburga (oczywiście za czasów przed bolszewickich) hodowała pieczarek była tak rozwinięta, że całą zimę na targach i w sklepikach można było nabyć małe koszyczki, — sześć do dziesięciu sztuk pieczarek — za pięć do 10 kopiejek, dwanaście i pół do dwudziestu pięciu groszy. W Warszawie pieczarki na targach trafiają się stosunkowo rzadko, są nieładne, szare, pogniczone, — no i jak wszystko u nas — bardzo drogie.

W wykwintniejszych kuchniach prywatnych i lepszych restauracjach używają przeważnie pieczarek konserwowanych, również drogich lecz przynajmniej ładnych. Na wsi, gdzie po ciepłych deszczach, znajdują się one nieraz w olbrzymich ilościach i zbior ich niesłychanie łatwy, gdyż rosną grupami na łąkach, gdzie się pasą konie, lub na polankach leśnych, a włościance, nie uważając ich za grzyby jadalne, wcale ich nie zbierają, można porobić z nich cały szereg zimowych zapasów. Przedewszystkiem więc pieczarki suszone, znacznie aromatyczniejsze od grzybów prawdziwych, mogą być użyte do wszelkich sosów zup, farszów, do których się grzybów prawdziwych używa, namoczone na godzin kilka w mleku, mogą być uduszone jak grzyby prawdziwe z masłem, cebulą i śmietaną, i podane do każdego mięsa, jako bardzo wykwintna jarzyna. Pieczarki zdrowe, bez robaków należy otrzeć z kurzu, pokrajać w paski, nie zdejmując naskórka, rozsypać cienko na płótnach i suszyć w cieniu, w przewiewnym miejscu

Gdyby pogoda była dżdżysta i powietrze wilgotne, należy płótno z pieczarkami porzucić w cieplej, suchej izbie, gdy nieco zwiądną, dosuszać je w bardzo letnim piecu, — po chlebie. Tak ususzone pieczarki, zsypywać do płóciennych lub papierowych woreczków i trzymać w bardzo suchej spiżarni, powieszzone na ścianie. Nieco starsze pieczarki, nie tak białe i ładne, należy po takim ususzeniu utrzeć lub utłuc w moździerzu na proszek, proszek ten wsypać do butelek, starannie za-



korkować i używać do mięsnych i do rybnych sosów, dla podniesienia ich smaku.

Ładne, białe, kragłe pieczarki można zakonserwować w kompotjerach. Zaraz po zebraniu ich obrać delikatnie ze skórki i wrzucić w wodę, zakwaszoną sokiem cytrynowym, lub solą cytrynową (kwaskiem), aby nie po czerniały.

Gdy wszystkie oczyszczone, wodę odlać pieczarki ułożyć na sicie, aby dolne sciekły poczem jeszcze je obetrzeć suchą ściereczką. Układać w słoikach lub kompotjerkach, tak jak rosną, bardzo szczelnie je uciskając. Za gotować wody mocno rozsolonej, ostudzić ją zimną zalewać pieczarki, aby je objęła. Słoiki obwiązać bardzo szczelnie starem płótnem i pęcherzem, lub też w braku pęcherza, mocnym pergaminem, — ustawić w szerokim rondlu, przelać sianem, nalać wodą do połowy wysokości słoików i postawić na niezbyt gwałtownym ogniu. Od chwili zagotowania, gotować dwadzieścia minut, poczem odstawić z całym rondlem i wyjmować dopiero wtedy, gdy woda zupełnie wystygnie, gdyż mogłyby popękać. Przechowywać w suchej spiżarni lub piwnicy, — całą zimę będą zupełnie jak świeże. Chcąc używać pieczarek w ciągu 2-3 do 3-4 miesięcy, można je zakonserwować w maśle. W tym celu należy pieczarki młode i ładne oczyścić z łupinek i nóżek, pokrajać w paski, włożyć na rozpuszczone masło, osolić i dusić tak długo, aż cały sos z pieczarek się wydusi i masło stanie się zupełnie czyste. W małe słoiczki, które należy po otworzeniu użyć na jeden raz cały, układa się jeszcze ciepłe takie pieczarki, uciskając je szczelnie, aby pustych miejsc nie pozostało i aby na wierzchu była warstwa masła na palec przynajmniej. Gdy masło zupełnie zastygnie, można jeszcze je zalać na palec roztopionym łojem baranim, który broni przystępu powietrza i przez to zwiększa trwałość konserwy. Gdy i ten łój zastygnie, należy słoiki szczelnie obwiązać pergaminem i przechowywać w suchym miejscu.

Przed podaniem łój się usuwa, a pieczarki rozgrzewa w rondelku i podaje takie jak są lub też dusi je z cebulą i śmietaną, jak świeże. Konserwa taka jest zwykle dobra do trzech miesięcy, jednak starannie przyrządzona nawet po roku nieraz jest jeszcze do-

bra. Wyborne są też młode pieczarki, marynowane w occie na przekąskę po wódce. Obrac pieczarki ze zwierzchniej skórki, ułożyć w rondlu, włożyć parę listków, kilka ziarn ziele i pieprzu zwykłego, osolić, zakryć pokrywą i dusić na wolnym ogniu, wciąż potrząsając rondlem, aby się nie przypaliło, po dziesięciu minutach takiego duszenia (licząc od chwili gdy się zagotują) wlać najlepszego octu tyle, aby je dobrze objęło, pogotować minut parę jeszcze, wlać na kilogram takiej konserwy, jedną pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, ostudzić, ułożyć w słoiki tak jak rosną, zalać octem, uważając, aby ocet dobrze grzyby pokrywał, zawiązać pergaminem przechowywać w suchym miejscu.

Gdy się używa większej ilości pieczarek na potrawę lub konserwę, pozostaje duża ilość łupinek i nóżek, które można zużyć na zimny sos, którego można używać do zimnych mięs zamiast sosów angielskich, lub dodawać do ostrych sosów dla podniesienia ich smaku. Łupinki i nóżki utłuc w moździerzu, lub przepuścić przez maszynkę, ułożyć w rondel, dodać listek, pieprzu, ziele, parę goździków, osolić, i dusić, aż obficie sos z siebie puszcza. Zlać całą masę na czyste płótno, sok wycisnąć. Na szklanekę takiego soku dodać drugą szklanekę białego francuskiego, lub węgierskiego wytrawnego wina, łyżkę musztardy sarepskiej, lub angielskiej w proszku, dwie łyżki octu, szczyptę pieprzu tłuczonego i na koniec noża papryki, zagotować wszystko razem, ostudzić i pozlewać we flakoniki od angielskich sosów. Stojąc, staje się coraz smaczniejszym.

Pani Elżbieta.

NOWE KSIĄŻKI

W tych dniach wyszły nakładem Księgarni Gebethnera i Wolffa następujące książki:

Zygmunta Karpińskiego „Zarys polityki bankowej” (Biblioteka Wyższej Szkoły Handlowej). Autor zapoznaje nas naprzód z zadaniami i rodzajami banków, z zadaniami i zakresem polityki bankowej, oraz z państwową polityką bankową. Następnie przechodzi do omówienia polityki bankowej w dziedzinie regulowania obrotów pieniężnych i w dziedzi-

nie kredytowej. Książkę cechuje głęboka znajomość przedmiotu, systematyczny układ, oraz jasne i popularne traktowanie rozpatrywanych zjawisk.

Inż. *Wiesława Krawczyńskiego „Łowiectwo”*. Przewodnik dla leśników zawodowych i amatorów myśliwych. Ze 140 ilustracjami. Jest to dzieło obszerne. Czytelnik znajdzie w niem opis szczegółowy wszelkiej zwierzyny, przebywającej w naszych lasach, sposobów łowieckich, psów i broni myśliwskiej, oraz praktyczne wskazówki co do postępowania z ubitą zwierzyną, transportu i rozkładu myśliwskiego. Całość poprzedzona jest słowem wstępnym i zarysem historii łowiectwa. Na szczególną uwagę zasługuje słownik poprawnej gwary myśliwskiej, umieszczony na końcu książki. Wydawcy nadali książce piękny wygląd zewnętrzny przez wydrukowanie jej na luksusowym papierze i zaopatrzenie w wielką ilość dobrych ilustracji.

Andrzeja Meringa „Podręcznik przerobu owoców i warzyw” przy współudziale prof. W. Iwanowskiego. Ze 121 rycinami w tekście. Książka ta zawiera szczegółowe wiadomości o przetworach owocowych i warzywnych, o budowie i działaniu suszarń, o konserwowaniu, kiseniu i marynowaniu, wreszcie o technice przerobu poszczególnych owoców i warzyw. Jest to pierwsza w tej dziedzinie książka polska, zawierająca jasne, treściwe, ale dostatecznie obszerne i systematyczne opracowanie przedmiotu.

Edwarda Nehringa „Technika owocarska i handel owocami”. Z 38 rycinami. Praca ta poświęcona jest zagadnieniom umiejętnej produkcji owocarskiej, z szczególniejszym uwzględnieniem eksportu zagranicznego. W pierwszej części książki mieszczą się wiadomości i wskazówki, dotyczące zbioru owoców, przerabiania ich, przygotowania do sprzedaży, pakowania, przewozu i przechowania. Część druga traktuje o pośrednictwie w handlu owocami, o dzierżawie sadów i stowarzyszeniach spółdzielczych owocarskich. Książka p. Nehringa, napisana z wielkim znanstwem przedmiotu, przysłuży się niezawodnie rozwojowi tak ważnej gałęzi gospodarstwa krajowego.

Od Wydawców

Dążąc stale i konsekwentnie do rozwoju naszego pisma, dodajemy—od Nr. 39. począwszy—**cztery nowe kolumny**. Powiększamy więc znacznie objętość „Bluszczu”, który wraz z dodatkiem powieściowym liczyć będzie **28 kolumn druku**. Pozwoli to Redakcji pisma rozwinąć szereg nowych działów, oraz bardziej jeszcze wzbogacić i ożywić treść naszego tygodnika, który, jako jedyne u nas, poważne pismo kobiece—powinien znaleźć się w rękach każdej Polki.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 39

498. Suknia z granatowego serge'u, ozdobiona sukniem i guzikami obciążanymi tymże sukniem.

499. Suknia z trikotiny krepowanej, przybrana barwnym galonem.

500. 501. 502. Szlaczki do wyszywania na sukniach lub bluzkach.

503. Suknia z lekkiego sukienka koloru brązowego, przybrana haftem tegoż koloru z dodatkiem srebra.

504. Spódniczka z angielskiego materiału, przybrana pliskami, zakończonemi czarnymi rogowymi guzikami. (Wystarczy jedna szerokość materiału 138 cnt.).

505. Kostjum dla młodej pani. Żakietki w paski, spódniczka gładka.

506. Kostjum dla młodej pani. Żakietki z popielatego, sztucznego baranka, spódnica popielata w kratę. Czapka i szal białe, wełniane, ręcznie robione.

507. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z flanelki gładkiej i deseniowej.

508. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 10 z gabardyny, koloru wina czerwonego, przybrana krawatem piaskowym w deseń.

509. Sukienka dla pani od lat 8 do 13 z woalu granatowego. Przód plisowany w drobne kontrafałdki.

510. Suknia z sukna koloru czarnego, przybrana białą plisą i guzikami z masy perłowej. Kontrafałdy na spódnicy, przystębnowane białym jedwabiem.

511. Kostjum dla pani z wełny

w paski. Na przód żakietka materiału, wzięty w poprzek.

512. Spódnica z lekkiej wełny, przybrana kłozowymi falbanami, objętemi czarną, jedwabną taśmą.

513. 514. 515. Motywy do haftu na suknie lub bluzki.

516. Bluzka z crepe de chine'u różowego, haftowana srebrem, przewleczone wstążeczką ze srebrnej lamy.

517. Bluzka z granatowej lekkiej wełny. Kamizelka i kołnierzyk białe, haft granatowy.

518. Bluzka z fjołkowej trykotiny krepowanej, rozszyta gładką trykotiną popielatą, haftowana popielatym jedwabiem.

519. Szlafrok z crepe de chine'u koloru ponsowego. Pelerynka podbita czarnym jedwabiem. Guziki czarne.

Porady Kosmetyczne.

Pani Z. B. Łupież usunie ang. plyn Bisare, wzmocni włosy, i pobudzi mech włosowy do porostu. Należy jednak głowę myć co tydzień, lepiej mydłem płynnym jak pinol, Bay-Rum.

Zofji R. przy cerze tłustej lepiej stosować na piegi frane, środek „Petunia“. Wagry da się usunąć, myjąc twarz proszkiem alkalicznym „Sveno“ dr. Lafayette.

257

Dr. Roemer.

Kooperacja Pszczelarzy

przy NACZELNYM ZWIĄZKU Tow. pszczelarskich

„BARC“ w Warszawie, ul. Miodowa 14,
w podwórzu, tel. 62-38.

KÓSZKI słomiane z nadstawkami i deskami ogrodowymi.

ULE różnych systemów. MIODARKI PODKURZACZE,

KRATÓWKI i różne przybory pasieczne.

WĘZE sztuczną z czystego pszczelnego wosku za gotówkę i wymienia za 1/3 wosku.

Kupuje miód, wosk i przyjmuje do komisowej sprzedaży.

SKŁAD FUTER I KONFEKCI FUTRZANEJ FELIKSA KIZYK

WARSZAWA

Marszałkowska 119 — tel. 155-86.

Nadesłane do Redakcji.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Zmartwionej: Żeby zapobiedz ciemieniu włosów, radzę Pani stosować plyn Hella, który rozjaśnia włosy i nadaje im cudowny złoty odcień.

Stalej: Najbardziej zniszczone ręce szybko doprowadza do należytego stanu *Pâte de Prelats*, która już po kilku użyciach, nadaje rękom aksamitną gładkość i delikatność. Jeżeli Pani chce rączki wybielić, to po natarciu *Pâte de Prelats*, trzeba obficie przypudrować pyłkiem *Juvenia Candida*, który ma własność wybielania nawet ciemnej cery.

Annie K. Krem do twarzy będzie najlepszy *Abarid*, który odżywia tkankę i zapobiega tworzeniu się zmarszczek.

M-e Ercedes.

Wymienione tutaj środki są do nabycia:

Warszawa: Perfection, Szpitalna 10 i W. Paszkowski.

Kraków: K. Miklaszewski, Plac Dominikański 1.

Poznań: M. Zaremba, Fredry 2.

Lwów: P. Mikolasch, Kopernika 1.

Śląsk Górny: D. Holländer, Królewska Huta, ul. Wolności 50.

263

QUAKER OATS



oryginalne płatki owsiane dla
dzieci, chorych i rekonwalescentów,
niezmiernie pożywne i lekko strawne

SPRZEDAŻ HURTOWA

TOW. AKC.

LAMBERT i KRZYSIAK

WARSZAWA, ul. NIECAŁA № 8.

228

W. JANISZEWSKI i S^{KA}

WARSZAWA,

MARSZAŁKOWSKA № 145

Jesienne

OKRYCIA
KOSTJUMY
SUKNIE

PODŁUG NOWYCH MODELI

254

CHRZEŚCIJAŃSKIE WSPÓŁDZIELCZE STOWARZYSZENIE KRAWCÓW

w Warszawie

CENTRALA:
ul. Krak.-Przedmieście 41.
Telefon 110-95.



FILJA:
ulica Żórawia Nr. 31.
Telefon 290-62.

Skład sukna, podszewek i przyborów krawieckich

Poleca po cenach przystępnych:

WEŁNY na palta, garnitury i kostjумы damskie, krajowych i zagranicznych fabryk

PODSZEWKI wełniane, jedwabne, bawełniane w różnych kolorach i gatunkach

JEDWABIE na suknie, bluzki i kostjумы w najnowszych deseniach: Crepe de Chine, Crepe de Georgette, Crepe Marocain, Crepe Algerien, Toile de soie i t. p.

NICI Krajowe, angielskie, francuskie, po cenach fabrycznych, oraz wszelkie artykuły wchodzące w zakres krawiectwa męskiego i damskiego.

Przyjmujemy zamówienia na etykiety jedwabne, wykonane przez fabrykę „Polski Tkacz“.

Wełny na swetry „Laine Zephir L. V.“ **Hafty, Walansjenki, Nicianki, Wstążki, Gumy, Potniki.**

NA 1-ej WYSTAWIE MÓD W KRÓL. HUCIE (ŚLĄSK) FIRMA OTRZYMAŁA ZA DOBÓR WYSTAWIONYCH TOWARÓW PIERWSZĄ NAGRODĘ.

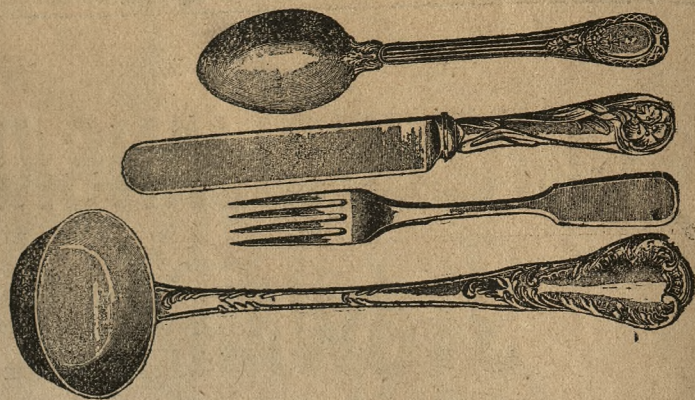
Założona w 1824 r., nagrodzona 26 najwyższymi nagrodami

FABRYKA WYROBÓW SREBRNYCH I PLATEROWANYCH

JÓZEF FRAGET

w Warszawie

Magazyny fabryczne: Elektoralna 16, Wierzbowa 8, Nalewki 16
w Łodzi: Piotrkowska 99.



Polecają w wielkim wyborze na podarunki i wyprawy zastawy stołowe,
przybory toaletowe, sztuce gładkie i stylowe etc.

OD KASZLU i PRZEZIĘBIENIA

UŻYWAJ

„PASTYLEK NEO-VALDA“

Wyrobu Laboratorium Chemiczno - Farmaceut.

B. KROGULECKI w WARSZAWIE

Żądać w aptekach i składach aptecznych

251

UWAGA: Powiększone wzory robót
i formy bibułkowe sukien, podanych
w dodatku mód, nabywać można w
Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić
wielkość (I. II. III. lub IV), podług której
forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i ro-
bót, należy kierować oddzielnie do Re-
dakcji dodatku mód. Zamówień nie
należy uskuteczniać na blankietach
czekowych P. K. O.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE GESSNERA

115 preparat roślinny, pobudza
apetyt i wzmacnia organizm.

PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową

WYNOŚI

rocznie 48 zł. — gr.
kwartalnie 12 „ — „
miesięcznie 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie 8 zł. — gr.
zmiana adresu — „ 30 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 90 zł. — gr.
 $\frac{1}{2}$ „ 51 „ 75 „
 $\frac{1}{4}$ „ 29 „ 25 „
 $\frac{1}{8}$ „ 15 „ 75 „
 $\frac{1}{16}$ „ 9 „ — „
 $\frac{1}{24}$ „ 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

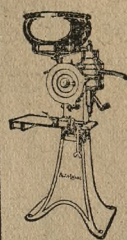
Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się
nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń
Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje
wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia
zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na $\frac{1}{4}$ część strony
przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogło-
szenie drobniejsze ma być powtarzane,
za każde trzy razy należy wnieść należność
z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,
Koło Polek, telefon 239-40.
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.



WIRÓWKI

Alfa-Laval

Były i są najlepsze

Przeszło 3.000.000 sztuk w użyciu

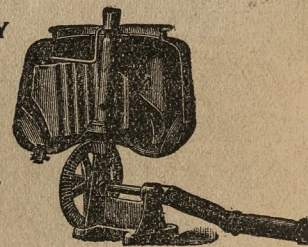
Około 1.200 najwyższych odznaczeń

POLECAMY

MASIELNICE

„ALFA“

maszyny i naczy-
nia mleczarskie.



TOWARZYSTWO ALFA-LAVAL

Warszawa, Krak. - Przedm. 60

261

OBUWIE
MĘSKIE,
DAMSKIE

poleca:



C. GADZIŃSKI, S-to Krzyska 5, w podwórzu.

256

MAGAZYN MÓD

S. BAŃKOWSKIEJ Warszawa,
ul. Chmielna 12.

POLECA:

Najświeższe fasony kapeluszy, sukien, bluzek

DUŻY WYBÓR

CENY UMIARKOWANE.

258

ISTNIEJE OD 1838 R.

Skład Papieru i Materiałów Piśmiennych
Drukarnia, Litografia i Introligatornia

A. Chodowiecki

Warszawa, Krakowskie-Przedm. 9. Tel. 9-89.

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ,
T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA —
Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ — Długa 9 i 1. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK“.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40